ROK III. Nr. 4 (104). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 25 stycznia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

YGODNIOWE PISMO
USTROWANE



STUDJUM W PYJAMIE (fot. Metro)



New York — największa metropolja świata, jest siedliskiem fantastycznych krachów, odbijających się na interesach całego świata — źródłem niebywałych fortun i niewiarygodnej nędzy — najbardziej intensywnego życia i bezrobocia, pozbawiającego setki tysięcy ludzi zarobku. Wsparcia i wsparcia bez końca, aż dopóki nie minie kryzys i życie normalne rozkwitnie wśród strzelistych buildingów i olbrzymich doków.

W chaosie zawikłań gospodarczych

„Sprawa uchwycenia przez Polskę rytmu zachodnio - europejskiego ma dla jej przyszłości znaczenie zasadnicze"... Oto słowa, które przed rokiem wypowiadał jeden ze znanych naszych ekonomistów, *) przystępując do badania szeregu aktualnych zagadnień gospodarczych, stanowiących w dobie obecnej naczelną troskę całego świata. I dalej, przechodząc do bliższego omówienia tematu, autor charakteryzował obecny okres czasu w następujący sposób: „...żyjemy w czasie powstawania najróżnorodniejszych form organizacyjnych w skali narodowej i międzynarodowej, dyktowanych momentami techniczno-wytwórczemi... formy organizacyjne ulegają ciągłym zmianom... w ciągu najbliższego okresu będącego okresem szybkiego postępu technicznego i międzynarodowych zazębień, te transformacje będą jeszcze częstsze..."

Słowa te były wypowiedziane na początku kryzysu, który ogarnął dziś cały świat i miota nim w przedziwny sposób, nie dając poprostu możności zorjentowania się najtęższym umysłom.

Sprawa „uchwycenia przez nas rytmu" staje się coraz bardziej skomplikowana i każdy wie o tem niestety, narzekając na warunki zdobywania chleba codziennego.

W dalszym ciągu niniejszego artykułu postaramy się naszkicować kilka z tych dręczących zjawisk, nie kusząc się, rzecz prosta, o danie jakiegokolwiek rozwiązania.

Ciekawym wynikiem obserwacyj specjalistów jest to, iż kryzys obecny uważać można za zwykłe zjawisko, powtarzające się w równych niemal odstępach czasu. A więc — począwszy od połowy ubiegłego stulecia poważniejsze zachwiania na rynkach świata notowano w n. l.: 1857, 1864, 1873, 1882, 1890, 1900, 1907, 1913, 1920.

Inne zestawienie cyfr nastręczy nam również wiele ciekawych myśli. Oto bowiem, jak wiadomo, główna przyczyna zła leży w zbyt szybkim wzroście produkcji i braku odpowiedniej konsumcji. Amerykański urząd „Federal Reserve Board" oblicza, iż w okresie od r. 1921 do r. 1929 produkcja wzrosła o 76 proc., w tym samym czasie jednak zarobki, a więc siła nabywcza ludności wzrosła zaledwie o 40 proc. Jakże więc zbyć nadmiar produkcji?

To też w Ameryce przewidywano ten kryzys od paru lat i powszechnie dziwiono się, iż zdołano opóźnić jego wybuch. Hamulcem w danym wypadku były kolosalne rezerwy kapitałów, które dały możność produkowania na zapas, a dzięki doskonałej organizacji sprzedaży, stanowiącej w

*) Henryk Tenenbaum. — Ośrodki dyspozycji gospodarczej w Polsce.



Życie płynie wartkim potokiem. Nikt nie ma czasu. Wszyscy się śpieszą, a dziesiątki miljonów ludzi jest pozbawionych pracy. Oto np. specyficznego rodzaju biuro dla ludzi, którzy będąc pochłonięci walką o byt, powierzają telefonistce-sekretarce załatwianie w swojem imieniu rozmów.

Stanach Zjednoczonych przedmiot głębokich studjów — wierzono, iż zapasy zostaną pochłonięte przez ludność nietylko w kraju, ale i na innych kontynentach świata, a warunki w międzyczasie powrócą do normy. Stałe podnoszenie płac, zachęcanie klijenteli drogą usilnej propagandy, niezwykłe warunki kredytowe — wszystko zostało puszczone w ruch, lecz i te środki zawiodły, na co złożyło się jeszcze masę nieprzewidzianych zjawisk, których trudno, wobec braku miejsca, wyszczególnić. O pewnych zresztą fazach tego katastrofalnego krachu pisaliśmy już niejednokrotnie.

Zanotujemy przy sposobności niezwykle ciekawe i paradoksalne zjawisko. Oto wiemy, że udoskonalania techniczne powinny wpływać na zniżkę ceny produkcji i sprzedaży. Tak jest, niewątpliwie. Lecz zjawisko to okazałoby się zbawiennem dopiero wówczas, gdyby wszystkie gałęzie produkcji jednocześnie mogły w jednakowym stopniu redukować ceny. Dzieje się natomiast wprost przeciwnie i w dążeniu swem do unormowania stosunków gospodarczych, ekonomiści muszą ponadto zająć się zreglamentowaniem wzajemnej relacji działów, które występują na rynku, jako konkurenci — a więc radjo konkuruje z kablem, samochód zagraża koleji, oleje z węgla i spirytus walczą z naftą i t. d. Stąd wynika konieczność wiązania tych działów ze sobą i tworzenia olbrzymich koncernów o produkcji i zakresie działania bardzo różnorodnych. Zauważymy dalej, iż o ile szybki wzrost cen sprzyja rozwojowi produkcji, o tyle działa wręcz odwrotnie na konsumcję.

I wreszcie jeszcze jedno — to błąd popełniany przez przeciąganie struny kredytu, gdyż najbardziej skrupulatnie prowadzona statystyka może przeoczyć moment, kiedy ludność zacznie nabywać więcej, aniżeli zarabia. Życie ponad stan — na kredyt — doprowadzić musi do krachu. I tak się stało — nawet w idealnie zorganizowanej Ameryce, której ludność popadła ponadto w szał równie kredytowanej spekulacji.

Przejdźmy z kolei do stwierdzenia katastrofalnych danych z dziedziny bezrobocia, wynikającego z kryzysu gospodarczego i przybierającego z dnia na dzień coraz groźniejsze rozmiary.

Wielce znamiennym w tej mierze jest raport prezesa niemieckiego zakładu ubezpieczeń, dr. Syrupa. Oto dowiadujemy się, iż w roku 1929 udzielono zapomóg 1.295.000 bezrobotnych, nie licząc, iż pozatem udzielono z innych źródeł wsparć ich rodzinom oraz okazywano pomoc z t. zw. funduszu kryzysu licznym rzeszom robotników, przejściowo pozbawionych pracy. W r. 1930 udzielono wsparć 1.859.000 bezrobotnych i sytuacja rokuje coraz gorsze nadzieje na przyszłość. Wpływy ze składek wynosiły 890.2 milj. marek, podczas gdy wydatki dosięgły cyfry 1.266.7 miljonów, nie licząc dodatkowego funduszu 608 miljonów, wypłaconego przez skarb państwa i gminy bezpośrednio.

Zastraszający ten deficyt jest niczem w porównaniu z danemi, które do głębi poruszyły opinję publiczną w Anglji, gdyż w roku ubiegłym parlament musiał przyznać pożyczkę w kwocie 70 milj. funtów na pokrycie deficytu, wynoszącego nie mniej 500.000 funtów tygodniowo na zaspokojenie olbrzymiej armji 2.500.000 bezrobotnych.

Pisma angielskie podnoszą przy sposobności ciekawy szczegół, który również podkreślił w swym raporcie o stanie rzeczy w Niemczech wspomniany dr Syrup. Oto bowiem okazuje się — a niestety i my możemy coś o tem powiedzieć — że klasa robotnicza nie zdołała wywrzeć decydującego wpływu w kierunku ograniczenia praktykowanych nadużyć. Dr. Syrup wykazuje, iż teoretyczny przyrost ludności w Niemczech winien wynosić w okresie od r. 1925 do r. 1930 — 1.540.000 głów, w czem ludności z klasy robotniczej około 1 miljona. Praktyka jednak daje daleko wyższe cyfry, jako że, mimo wzrastającego kryzysu i masowego zwalniania robotników, liczba ich stale się wzmaga, wchłaniając tysiące ludzi, którzy nie byli stale zatrudnieni w warsztatach pracy. Są to po większej części kobiety — panny lub zamężne, które pracują po parę miesięcy w ciągu roku, byleby móc się wylegitymować książką ubezpieczeniową.

W Anglji notowane są oryginalne wypadki, zwłaszcza wśród robotników portowych, którzy dzięki poparciu swych syndykatów pracują po 3 dni na tydzień, zarabiając wraz z godzinami dodatkowemi do 5 funtów, poczem ich miejsce zajmuje jakby druga zmiana, sami natomiast skwapliwie meldują się na 3 dni do kas zapomogowych.

Nie lepiej dzieje się w Austrji, gdzie wzrost bezrobocia w ciągu ub. grudnia wyniósł 31.900 ludzi (na ogólną liczbę 294.845).

Najpomyślniej sprawa ta przedstawia się we Francji, gdyż dopiero w ostatnich czasach zanotowano tu i ówdzie redukcję robotników, a w r. 1929 zwerbowano jeszcze 180.000 ludzi z zagranicy.

Nie wchodząc w bliższe dane, dotyczące naszego kraju, zauważymy, iż katastrofalny wzrost bezrobocia zagranicą odbije się również i na naszych stosunkach, gdyż Francja i Niemcy, dokąd wyjeżdżało z Polski bądź to na stałe, bądź na sezonowe roboty zgóry 100.000 ludzi rocznie — postanowiły zamknąć swe granice dla imigracji.

*

Postaraliśmy się zestawić w ogólnych zarysach nieco danych o stosunkach gospodarczych i robotniczych na świecie. Co dalej wyniknie? Czy mamy się pocieszać teorją o stałych okresach kryzysów? Przyszłość to okaże — byleby jaknajrychlej, bo napięcie może wywołać groźne następstwa.

Er.

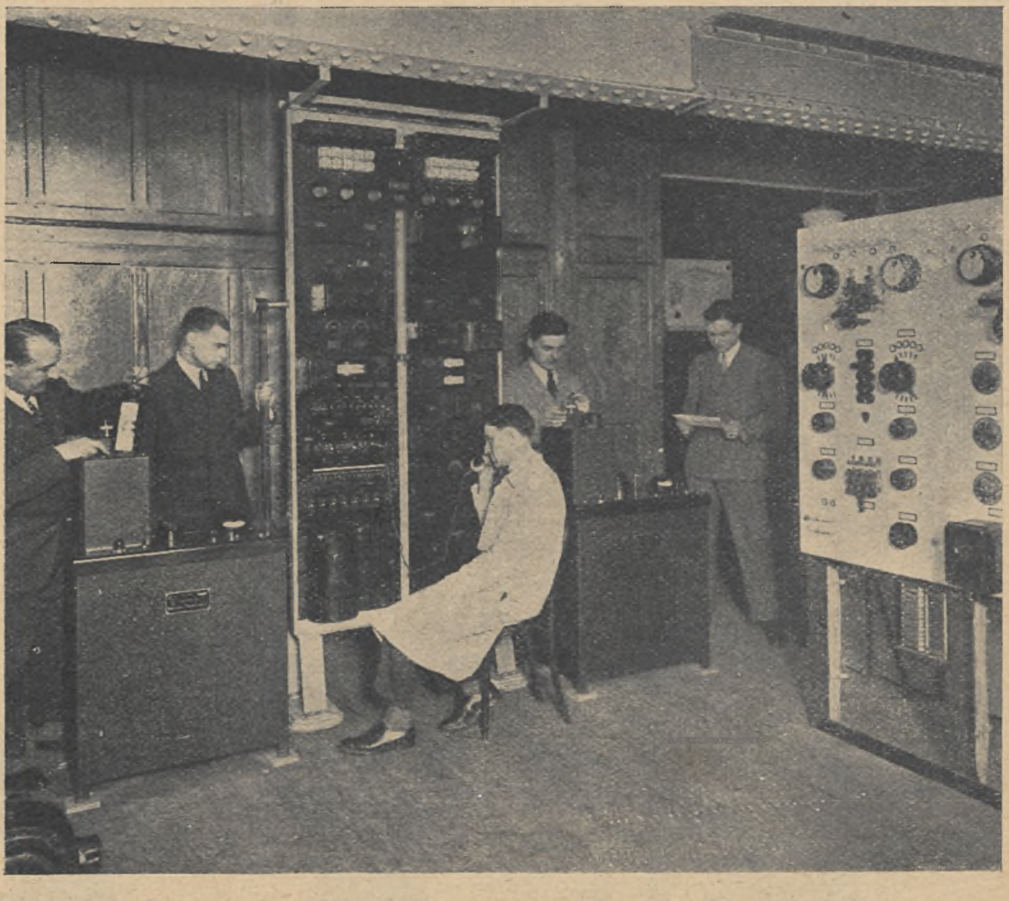
Już w przyszłym numerze ukaże się pierwszy feljeton

Maurycego Dekobry

z podróży jego po Kalifornji. W notatkach tych między innemi potraktowane są wrażenia świetnego pisarza o Hollywoodzie.



Jednym z najstarszych wiekiem uczonych francuskich jest 86-letni prof. Branly. Jemu to świat zawdzięcza wynalezienie pierwszych zasad telegrafji, bez drutu. Ciasne laboratorjum, w którem oddaje się badaniom naukowym stanowi od r .1876 codzienną jego troskę. Gdy w swoim czasie zwrócił się do rektora uniwersytetu katolickiego J. E. ks. biskupa Baudrillaria, otrzymał oryginalną odpowiedź, którą kapłan wypisał na drzwiach pracowni i którą dotychczas łatwo można odczytać: „Lepsze laboratorjum niedoskonałe, niżli żadne...“



Telefotografja znajduje już zastosowanie w dziennikarstwie. Nadanie dla próby całych kolumn dziennika dało pomyślne wyniki. Na fotografji instalacja telefotograficzna, funkcjonująca u naszego korespondenta paryskiego — „The New York - Wide World“ i obsługująca inne placówki kontynentalne.

JADWIGA KIEWNARSKA (WELL).

Zabawy dziś i ongi

Z mającej się w najbliższym czasie ukazać książki: „Dobre wychowanie młodzieży".

Nawet najzagorzalsi zwolennicy współczesności, zmuszeni są przyznać, że co jak co, ale zabawy były dawniej lepsze i wytworniejsze, i weselsze, i wogóle przyjemniejsze. Wprawdzie obecny balowy rynsztunek pięknej pani wygląda o wiele wspanialej i kosztuje wielokrotnie drożej, niż powiewne, tarltanowe sukienki z czasów młodości naszych matek i babek, lecz każdy, kto oglądał tłok i zaduch, panujący obecnie na wszystkich balach, zalane winem stoły w pokoju bufetowym, znudzone i zatroskane twarze ludzi, którzy się przyszli zabawić i ani rusz rozbawić się nie mogą — zgodzi się chyba ze mną, że pojęcie „wytworna zabawa" stało się anachronizmem.

Dziś niejedna z ładnych i eleganckich kobiet twierdzi, że największą, a bodaj że jedyną rozkoszą karnawałową jest przejrzenie się w lustrze i obejrzenie siebie w pięknej, prosto z igły toalecie, jeszcze nie skalanej nieczystem, przesyconem dymem i potem tchnieniem sali balowej. Możnaby potem toaletę włożyć z powrotem do kartonowego pudła, w jakiem ją przysłano z magazynu i położyć się spokojnie do łóżka. Przyjemną część zabawy miałoby się za sobą. Niestety, nie zawsze to się da uskutecznić.

Tak mówiące panie bynajmniej nie są odludkami, ani nie pozują na oryginalność. Przeciwnie, są to miłe, pełne radości życia istoty, które niewątpliwie bawiłyby się chętnie i świetnie, gdyby to tylko było możliwem na niesłusznie tak zwanych „zabawach", które doprawdy lepiej określałyby nazwy — „tłocznia" lub „nudota". Jakże mi żal powiewnych żorżet i muślinów, godetów i ruiszek, cud kreacji, których autorstwem słusznie się chlubią wielkie firmy krawieckie — tak niemiłosiernie miętych i gniecionych w jarmarcznym ścisku współczesnych bali, tych staników, z jedwabnego velour'u i lamy, na których tancerze zostawiają wierne i nie dające się zmazać odbitki daktyloskopijne swych spoconych palców.

Bo tańczący panowie nie używają obecnie rękawiczek. I ten brak rękawiczek odbija się nietylko na wyglądzie toalet tańczących dam, lecz także na całokształcie zabawy i posiada swoje oddziaływanie psychiczne.

Żyjemy w czasach, w których rękawiczka, zwłaszcza biała, zdaje się być przeżytkiem z epoki turniejów i błędnych rycerzy. Ludzie, nie używający rękawiczek (w znaczeniu przenośnem) do rozpychania się w życiu codziennem, do robienia łokciami w tłumie i dławienia współ zawodników, nie potrafią na zawołanie wyzbyć się swojej brutalności, znalazłszy się na sali balowej. Dlatego też, między tłokiem w tramwaju lub ogonku przy kasie teatralnej, a tłokiem na zabawie dobroczynnej, niema właściwie żadnej istotnej różnicy. Tam palto i zabłocone obuwie, tu nieskazitelny strój balowy, lecz zachowanie to samo; ten sam brak elementarnej kurtuazji, wyzyskiwanie przewagi nad słabszym, energiczna i bezwzględna praca łokciami.

Podstawą każdej dobrej zabawy jest niefrasobliwa wesołość i pogodna życzliwość względem wszystkich tej zabawy uczestników. Podstawą każdej zabawy towarzyskiej jest również i wielka, wzajemna uprzejmość, chęć uprzyjemnienia każdej chwili zarówno gościom, jak i gospodarzom.

Zabawy dobroczynne zawsze bywały obliczone na zysk, który to zysk pozwalał na utrzymanie szeregu pożytecznych społecznie instytucyj; osiągnięcie tylko zysku nie było jedynym zabawy tej celem. Panie z komitetu balowego, uważały za punkt honoru, nie tylko wykazanie jaknajwyższego dochodu, lecz przedewszystkiem zgromadzenie jaknajdoborowszego towarzystwa, osiągnięcie jaknajmilszego nastroju towarzyskiego, słowem stworzenie jaknajlepszej zabawy. Każda z tych pań sprzedawała wyłącznie bilety imienne, osobom dobrze znanym, za których obycie towarzyskie mogła w zupełności ręczyć. Wodzireje, wybrani z pośród najsympatyczniejszych przedstawicieli złotej młodzieży, mieli tylko obowiązek prowadzenia tańców i porozumiewania się z orkiestrą, lecz także czuwania nad charakterem zabawy, a w pierwszym rzędzie nad tem, aby wszyscy tańczący panowie byli już na początku balu przedstawieni wszystkim paniom.



PODSŁUCHANE NA BALU. — Niech mnie pan zasłoni, bo muszę sobie poprawić podwiązkę..

(„Bystander")

Zarówno wodzireje, jak i gospodynie balu dbali o to, aby panie przyjezdne, lub będące po raz pierwszy na balu (wtedy to się nazywało „wstępować w świat"), miały tancerzy. Młodzieniec, proszony przez wodzireja lub damę z komitetu o zatańczenie z tą lub inną panienką, nie wymawiał się brakiem humoru, niedyspozycją i t. p.... bo zapytanoby go, poco właściwie w tak niestosownem usposobieniu wybrał się na zabawę taneczną — lecz posłusznie tańczył ze wskazaną mu osobą tura lub dwa, poczem, jeżeli panna była miła i tańczyła dobrze, zapisywał się w jej karnecie na któryś z dłuższych tańców.

Grube ryby, czyli dobre partje, posiadacze łysin i stanowisk, drożyli się oczywiście, ze swemi względami i tańczyli rzadko, łaskawie i na upatrzonego (vide „Grube Ryby" Bałuckiego), ale młodzież akademicka tańczyła, ile tchu starczy, bez żadnej ubocznej myśli i ze szczerej ochoty. Mazury, kotyljony i kontredanse z ich urozmaiconemi figurami i częstą zmianą tancerek, wprowadzały wszystkich zgromadzonych w świetny nastrój zbiorowej zabawy.

Panie, siedzące przy programach, czy kwiatach lub urzędujące przy bufecie, były otoczone liczną asystą. Panowie, bywający na ich przyjęciach, skwapliwie korzystali ze sposobności zrewanżowania się za doznaną gościnność, składając na ręce tych pań hojne naddatki na cel. Gospodarze balu dotrzymywali paniom towarzystwa, bawiąc je wesołą i dowcipną rozmową i wyręczając w związanych z ich obowiązkami czynnościach, jak to wydawanie reszty, nalewanie wina, umocowywanie wstążek i szpilek przy bukietach i znaczkach komitetowych etc...

Nikomu nie przychodziło na myśl kontrolowanie rachunków podczas balu. Jasnem było, że tam, gdzie chodzi o bal dobroczynny, mogą być jedynie naddatki, większe lub mniejsze, lecz nie może być mowy o niedopłacie.

Dziś — wszędzie ostra kontrola, zafrasowana i bez uśmiechu. Podwójna kontrola biletów przy wejściu. W bufecie sprzedaż za kwitkami. W bufecie kartki błękitne na kanapki, żółte na mięsiwa, na sałatki — zielone. Na kruszon kwitki amarantowe, wydawane z niezbadanych powodów w sąsiednim hallu. Człowiek, który wypił za okazaniem odpowiedniego kwitka kieliszek wódki, musi ponownie stawać w ogonku aby zdobyć kwitek, dający prawo do spożycia przekąski. Osoby, wydające te kwitki, mają zesztywniałe od automatycznego wysiłku dłonie, a spojrzenia ołowiane i błędne. Panie, urzędujące przy bufecie, przyglądają się petentom z nietajoną podejrzliwością:

— Zaraz! Zaraz! Proszę tylko nic nie brać samemu. Ja muszę pierwej wiedzieć, co pan zapłacił — mówi stojąca za bufetem jejmość w brokatach, poprawiająca pełnym irytacji gestem rajer, zbakierowany w rozfryzowanych od gorąca włosach.

— Tu, proszę pani dobrodziejki — bąka nieśmiało młodzian we fraku, noszącym świeże ślady bliskiego zetknięcia z wspaniale udekorowanym majonezem — tu właśnie kartki na dwa ciasteczka, a tu na trzy koniaki i pięć kanapek. A jeszcze prosiłbym o szklaneczkę wina i kawałek tortu...

— Wina i torty w bocznej sali. Kartki lila przy pierwszym stoliku z prawej strony i pomarańczowe — trzeci stolik na lewo. A tu mi pan daje kartki na dwa koniaki, a mówi, że na trzy — groźnie orzeka dama z rajerem, srodze oburzona.

I tak zawsze, i tak wszędzie, i tak przez całą noc. Na sali balowej ścisk taki, że o właściwym tańcu ani marzyć nie można. Pary, splecione ciasnym uściskiem, przepychają się z trudem obok siebie. Gwar rozmów głuszy orkiestrę. Wiele trącania i kopania. Na guzikach mundurów i orderach widać strzępki tiulu i koronek. W czasie trwania minionej, na szczęście, mody smutnej pamięci charlestone'a, wszystkie panie miały ciemne plamy na jasnych pończoszkach i bolesne sińce na kostkach. Sama znam młodą panienkę, której na pierwszym w jej życiu balu, dosłownie przetrącono w ścisku żebro.

Na kogo spada wina za cały ten (wybaczcie mi, o czytelnicy, trywjalność określenia!) *bałagan*. W pierwszej mierze na organizatorów balu.



— Jak najwięcej brać, jaknajmniej dawać— rozpowszechnione, a demoralizujące hasło dnia, udzieliło się nawet komitetom dobroczynnym. Bezczelna i bezpodstawna reklama, wpychanie biletów przemocą wszystkim znajomym znajomych, wyzyskiwanie w celu zainteresowania zabawą, najmniej godnych szacunku ludzkich słabostek, wreszcie powierzanie sprzedaży biletów własnej krawcowej i manikurzystce — oto grzechy główne większości organizujących zabawy „na cel". A przedewszystkiem błąd kardynalny — nie liczenie się z rozmiarami lokalu.

Sprzedać trzy tysiące biletów na bal, odbywający się w sali, mogącej z biedą zmieścić osób pięćset, to, zdaniem każdej z balowych gospodyń, uczynek szczytny i zasługujący omal że na order papieski.

— Jedni i tak nie przyjdą, bo wzięli bilety na odczepnego, inni zobaczą, że jest ciasno, i prędko się wyniosą; a nikt nie może mieć żadnych pretensyi, bo to przecież cel — tłomaczyła mi z rozbrajającym wdziękiem pewna urocza, niemal zawodowo komitetowa, osoba.

W praktyce jednak, okazuje się, że pretensje się zdarzają i to nie byle jakie. Ludzie, narażeni na stratę karnawałowego wieczoru i nieprodukcyjny wydatek, ogadują niefortunną zabawę i jej organizatorów, a co gorsza, następnym razem nie przychodzą. I dzieje się czasem tak, że na bal, słynny od lat kilku, z nieprawdopodobnego tłoku, w roku następnym zjawia się kilkunastu niedobitków, którzy rozglądają się z przerażeniem, po wiejącym chłodem i pustką lokalu i mówią zdziwieni:

— Dlaczego tak pusto, kiedy w roku zeszłym było tak pełno!!

A pusto jest dlatego właśnie, że w roku zeszłym było za pełno. Obok ścisku i wynikającej zeń atmosfery ponurego grubijaństwa, największą plagą powojennych zabaw, jest zwyczaj bawienia się i tańczenia wyłącznie w tem towarzystwie, w jakiem się na bal przyjechało. Zwyczaj ten pozostawiły nam w spadku mnogie misje amerykańskie, od których roiło się u nas w roku dziewiętnastym. Nie mamy im za co dziękować, gdyż miły ten zwyczaj podkopał samą rację istnienia bali dobroczynnych — zabawę ogólną.

— Można bardzo kochać swego męża, ale aby wyłącznie z nim tańczyć przez całą noc, nie warto się wykosztować na toaletę, fryzjera, taksówki i bilety balowe — powiada, nie bez słuszności, większość pań. Aby tańczyć z dwoma kuzynami, których się ze sobą sprowadziło, wystarczy też nakręcić w domu gramofon, ewentualnie pojechać do restauracji z dancingiem. Więcej zabawy, a mniej ambarasu.

Urok dawnych bali stanowiła właśnie możność poznawania coraz to nowych ludzi, oczywista pod czujnem okiem cioć i mam. Dzisiejszy bal — to paradoksalne, zwarte zbiegowisko odrębnych kółeczek, zamkniętych i wzajemnie wrogich. Nieraz, dobry znajomy wita się pośpiesznie z damą, w której domu bywa częstym gościem i mówi w przelocie:

— Pani zechce mi wybaczyć, ale.... jestem w towarzystwie.

Możnaby z takiego powiedzenia wywnioskować, że jest w towarzystwie kompromitującem i że boi się obrazić damę z towarzystwa, dzieląc swój czas między nią a jakąś podejrzanej konduity osóbką. Bynajmniej. Młodzieniec, z takim pośpiechem pozbywający się doktorowej i jej córki, jest w towarzystwie mecenasowej i jej córek. Te panie się znają i wymieniają ukłony, tym razem — coprawda — chłodne.

Następnym razem, doktorowa będzie przezorniejsza i zamówi sobie zawczasu tańczącego młodziana, zjednawszy go obietnicą ulgowego biletu i wspólnej kolacji (zapłaci, oczywista, pan doktór), a obowiązkowy młodzieniec będzie sumiennie obtańcowywał doktorównę, zaszczycając córki mecenasa uprzejmym ukłonem zdaleka.

Panna — ładna, miła i nawet mająca wielu cały czas trwania balu, o ile nie przyprowadzi znajomych, może przesiedzieć pod ścianą przez ze sobą „własnego tancerza". Tańczenie przez cały czas z jednym danserem, przed wojną uchodzące za najwyższy shocking, obecnie stało się prawidłem. Dochodzi do tego, że panowie, pragnący zatańczyć z którąś z pań, proszą o pozwolenie nie jej samą, nie męża nawet, a jej stałego dansera. Jest to również śliczny zwyczaj zagraniczny, żywcem do nas importowany, z dancingów w miastach portowych. Dobrzy tancerze nabierają w karnawale wielkiej zarozumiałości i obnoszą swą wielkość, niczem tenorzy. Bywają oni tem dumniejsi ze sprawności swych kończyn dolnych, im mniej mają powodów do zadowolenia ze swych zalet umysłowych. Poczciwy Fikalski z „Domu Otwartego", to szczyt skromności i uczynności, w porównaniu ze współczesnymi tanecznymi asami. Młodzieńcy ci bywają tak bezgranicznie aroganccy, że niejedna z gospodyń, bez wahania, kazałaby ich wyprosić, gdyby nie obawa, że po takiem oczyszczeniu atmosfery balowej panie będą skazane na tańczenie między sobą.

Wychowanie młodzieży współczesnej wiele niestety, pozostawia do życzenia. Najlepiej to się daje obserwować na balach. Nie rzadko można oglądać młodych ludzi, siedzących wobec stojących pań, lub roztrącających damy w przejściu. Matki, z rozczuleniem opowiadają o tem, że ich synowie na którymś balu wytrzymali aż do rana i nie byli „urżnięci". Upijanie się młodych ludzi przy bufetach balowych i wszczynanie ordynarnych burd, traktowane jest pobłażliwie, jako przejaw zrozumiałej bujności młodzieńczego temperamentu.

Na balach, urządzanych przez korporacje, komitet koleżeński czuwa nad trzeźwością członków korporacji, którzy przyjęli na siebie obowiązki gospodarzy... do jakiejś godziny pierwszej, drugiej w nocy. O tem, co się dzieje nad ranem, lepiej nie mówić.

Paniom, które się niebacznie podjęły dyżurów przy bufecie, zostawia się przyjemność likwidowania zrana rozrachunków z wynajętą służbą, segregowania bufetowych pozostałości, oraz obronę resztek alkoholu przed bezpłatnem pochłonięciem ich przez dziarskich przedstawicieli młodzieży, przydzielonych rzekomo do pomocy tym paniom, w ich doprawdy męczących i odpowiedzialnych czynnościach.

Tak wyglądają współczesne zabawy dobroczynne. Trudno się dziwić, że coraz mniej osób miewa na nie ochotę i że — coraz częściej, zamiast dochodu, podobne imprezy przynoszą deficyt.

Amatorzy hałaśliwego jazz bandu i jarmarcznej ruchawki wolą ich szukać w lokalach restauracyjnych, gdzie są wprawdzie wygórowane ceny, lecz niema nadprogramowej, nie dającej się ani przewidzieć, ani obliczyć, karoty, no i żadnego towarzyskiego skrępowania.

Osoby, tęskniące za kulturalną, towarzyską rozrywką, też przestały jej szukać na balach. Zostaje garść snobów, zręconych nadzieją zobaczenia swych nazwisk, wydrukowanych w poczytnem piśmie, na liście gospodarzy, obok nazwisk osobistości wybitnych i wpływowych.

— Jaki stąd wniosek?

Bardzo radykalny: — albo publiczne zabawy dobroczynne odzyskają swój dawny charakter zabaw prywatnych, na większą skalę, podczas których wszyscy członkowie balowego komitetu poczuwają się do obowiązku odgrywania ról gościnnych i troskliwych gospodarzy — albo są one skazane na coraz wzrastające deficyty i ostateczną zagładę. Nie pomogą ani hałaśliwe reklamy, ani najbardziej pomysłowe atrakcje, jak to: sprzedaż baloników, konkursy taneczne, konkursy piękności, fotogeniczności etc....

Największą atrakcją balową jest utrwalona opinja, że na tym balu bywa zawsze wesoło. A taką opinją nie może się poszczycić żadna ze współczesnych zabaw, a zwłaszcza dobroczynnych.

Coś dla mężczyzn

Tyle się ciągle mówi i pisze o strojach i modzie kobiecej, że naprawdę niejeden mężczyzna żachnie się na upośledzenie „płci brzydkiem". „I nam się należy jakieś równouprawnienie z kobietami — twierdzą młodzi dżentelmeni." Chcąc temu zadość uczynić podajemy dwie fotografje: jedna, przedstawiająca skarpetkę, służącą jednocześnie za podwiązkę i drugą wełniany pullover dobrany deseniem i kolorem do skarpetek.



MELCHJOR WAŃKOWICZ.

Nad Bałtykiem

W poszukiwaniu matury rządowej, Mundek O., Piotruś G. i ja zabrnęliśmy do Libawy, gdzie już czekała nas paczka sześciu innych kolegów. Jak się nazywali? — W literaturze pamiętnikarskiej wprawdzie nazwiska dodają wdzięku— ale nie wiem, co mi się jeszcze napisze, nie ze wszystkiego będą zadowoleni, więc wymienię ich z przydomków.

Był więc „prałat", „pieprzojad", „użyk serioznyj", „Bolesław Kędzierzawy", „laluś", „Jerry", a w naszej paczce przyjechał „Maripoza" (ówże „Mundupcio") i „Siłuszka czernoziomnaja".

Po Jełat'mie Libawa — to był raj. Śliczne, kulturalne miasto, cudowny nadmorski klimat. Mieszkaliśmy wszyscy w jednej willi — pani J., Polki, właścicielki dwuch okrutnie brzydkich córek: jedna przeraźliwie chuda i wysoka, druga pulchna i mała. Że jeszcze wówczas Pat i Patachon byli nieznani, nazwaliśmy je: Wymok i Bulba.

Wymok i Bulba kochały się w nas beznadziejnie. Kochała się i cała damsko-polska Libawa.

Cóż w tem dziwnego? Przyjechało dziewięciu chłopaków na schwał z fascynującej Warszawy, tatusie i mamusie bulili grubszą forsę, na te, panie dziejski, „łapówki" dla rosyjskich belfrów, na „dobre odżywianie się", na najlepszych nauczycieli, na najlepsze podręczniki i wogóle na „nie żałujcie sobie".

Tedy zaprowadziły się fraki, smoki, żakiety, sportowe garnitury, że oko bielało, krawaty w kraty, laski i spodnie w paski, meloniki, szyki — używaliśmy w sposób dziki.

Mieszkaliśmy w nadmorskiej willi, tuż przy parku.

Było — uh, jak dobrze!

Była w tem dziecinnada, ale i ambicja: zademonstrować, co to jest szkoła polska.

Demonstrowaliśmy tedy, ile się da. Na wieczorku tańcującym w miejscowym klubie polskim do mazura osiem dziewic wybrało... nas ośmiu. Ani jednego miejscowego „kawalera". Łaziło to wszystko po kątach i odgrażało się wziąć odwet... po naszym wyjeździe.

Narazie jednak wyjeżdżać nie myśleliśmy, egzaminy maturalne rozpoczynały się za kilka miesięcy, natomiast umyśliliśmy uspołecznić kolonję polską. Został zorganizowany przez nas odczyt ku czci Słowackiego. Kiedy „prałat" deklamował z uniesieniem „Niechaj mnie Zosia o wiersze nie prosi", „Bulba", której w cywilu Zosia było na imię, tryskała fontanną łez, a po obchodzie, krygując się, tłomaczyła:

— Kiedy ja pana Hendryka nie prosza, on, musi, sam taka naporność poczuwszy poezji pisać ku mnie.

W czasie zaś mego odczytu, kiedy właśnie perorowałem, że „duch Juljusza w trzecim etapie jego twórczości stanął jako słup ognisty" — jakaś paniusia „zemdlawszy", rznęła tak skutecznie ciemieniem o gzyms pieca, że ją wynieśli z sali. Byłem bardzo dumny z powodu ten ognisty słup i to wzruszenie, koledzy zaś dowodzili, że z powodu ględzenie, które trwało ósmy kwadrans.

Owak czy tak — był efekt taki, że na drugi dzień u poczciwej p. Weischnur, niemki, starej panny i nauczycielki, u której braliśmy lekcje niemieckiego i która kiepsko rozumiała po polsku, znalazłem list do przyjaciółki, w którym ją powiadamia, że *„der Geist hier in Libau ist ausgehoben"*.

— *Warum ausgehoben?* — pytam — i co pani ma do tego?

* * *

Ale odtąd wszystko było „ausgehoben".

Poczciwa p. Weischnur dała nam hasło dnia. Na willi nawet przybiliśmy plakat:

Willa pod „ausgehoben".

Pani J., gospodyni, gryzła się tym szyldem i koniecznie prosiła „przynajmniej powiedzieć, o co chodzi, co jest ausgehoben?"

— Wszystko, proszę pani — odpowiadaliśmy, raźno, zabierając się do smakowitych flądér.

Młodość aż parskała przez wszystkie drzwi i okna.

Zwolna, z tego tam nadmiaru floty w kieszeni, z tego morza i tego słońca, z tej swobody i niezależności, z tej Libawy „jednem słowem" (jak mówił nasz „Foka"), zrobił się zielony wygon, po którym w lamsadach i w cielęcych skokach harcowała nasza dziewiątka.

Wszystko było ciekawe życia, ale strasznie jeszcze durne.

Na tem tle było szereg komicznych zajść, z których jedno opowiedzieć mogę.

„Prałat" robił między nami starszego, wydymał się jako *vir peritus* w służbie Amora i Bachusa, my zaś wiedzieliśmy, że w Warszawie kuł, społecznikował i trochę chodził po wieczorkach tańcujących, czyli robił to samo, co my. Skąd więc to wynoszenie się?

Nadszedł prima aprilis. Ułożyliśmy słodki liścik, w którym piękna nieznajoma „w szkarłatnej bluzce ze złotemi guziczkami" oczekiwać miała w małej salce, dużej miejscowej cukierni, o g. 12-ej w nocy.

Liścik na nasze prośby wykaligrafowała któraś ze znajomych.

„Prałat" zgorzał z zachwytu, markowanego starannie nonszalancją. Szkarłatną bluzkę ze złotemi guziczkami miała b. przystojna kasjerka tej cukierni.

Popełniliśmy w liście jedną złośliwość: cukiernię zamykano jo 11-ej.

Teraz zaczęło się gremjalne radzenie i ubieranie prałata. Każdy mu znosił jakie miał najpiękniejsze krawaty, kamizelki, getry. Ubraliśmy go w olśniewający kostjum półsportowy, ale kiedy już był całkiem gotów, zadecydowaliśmy, że gentleman *comme il faut,* idąc na pierwszą randkę i o tak późnej porze, popełnia krok uroczysty, którego subtelność nakazuje zaznaczyć żakietem.

Kiedy użakiecony „prałat" przestępował próg, po raz trzeci rozebraliśmy go do naga, twierdząc, że „przy tak uroczystej małpie, może kobiecie odejść ochota do wszystkich amorów". Najlepiej będzie ubrać się dyskretnie, ale swobodnie, a więc w ciemne marynarkowe ubranie.

Znowu więc inna koszula, inny krawat, inny kołnierzyk.

Zziajany, ale szczęśliwy i zemocjonowany „prałat" wypchnięty został na ulicę, na kilka minut przed dwunastą. My, pozostali, urządziliśmy pląs papuasów z uciechy, jak to „prałat" stanie przed zamkniętą cukiernią.

Potem raźno zabraliśmy się do przygotowania mu królewskiego powrotu.

Przy wejściu na werandę, na wysokości gęby, umieściliśmy tak sterczący, w otwierające się drzwi, kij, że prałackie oblicze musiało się nań nadziać. Koniec kija owinięty był skarpetką, żeby sobie oka nie wybił.

Przy wejściu z werandy do sypialnego, w którym „prałat" spał z „Użikiem" nad drzwiami „Maripoza" skonstruował skomplikowany system dźwigów, na skutek czego, wielkie blaszane wiadro, pełne wody, bez pudła wylewało co do kropli swą zawartość na głowę wchodzącego; skoro tenże z pod wodospadu rzucał się wprzód, trafiał na dwa sznury: dolny, nad podłogą, mocno napięty, miał go zwalić do sitzbadu, napełnionego wodą; górny sznur, o parę centymetrów dalej umieszczony na wysokości piersi, tak, aby padający szarpnął go całym ciężarem — biegł na szczyt olbrzymiej staroświeckiej szafy, który był ugarnirowany dziesięciu bardzo brzęczącemi utensylJami pierwszej potrzeby, powiązanemi za uszka.

Była to ofiara „z pod serca" każdego z nas, złożona na ołtarzu psikusa. Dziesiąta jednak sztuka znalazła się, dzięki przestępstwu: kradzieży w dziewiczym pokoiku Bulby i Wymoka.

To był pierwszy akt tortur. Drugi czekał „prałata" przy łożu. Leżała tam jego nocna koszula o mankietach zeszytych i rękawach napełnionych mąką, materac z ramą był wyrzucony, prześcieradło napięte w próżni, a pod niem — niecka z wodą.

Jak widzimy, zabiegów hydraulicznych nie poskąpiono na ostudzenie primaaprilisowego Don Juana.

Wszystkie te instalacje założone były z rekordowym pośpiechem, próba generalna bowiem przeprowadzona była jeszcze uprzedniego dnia.

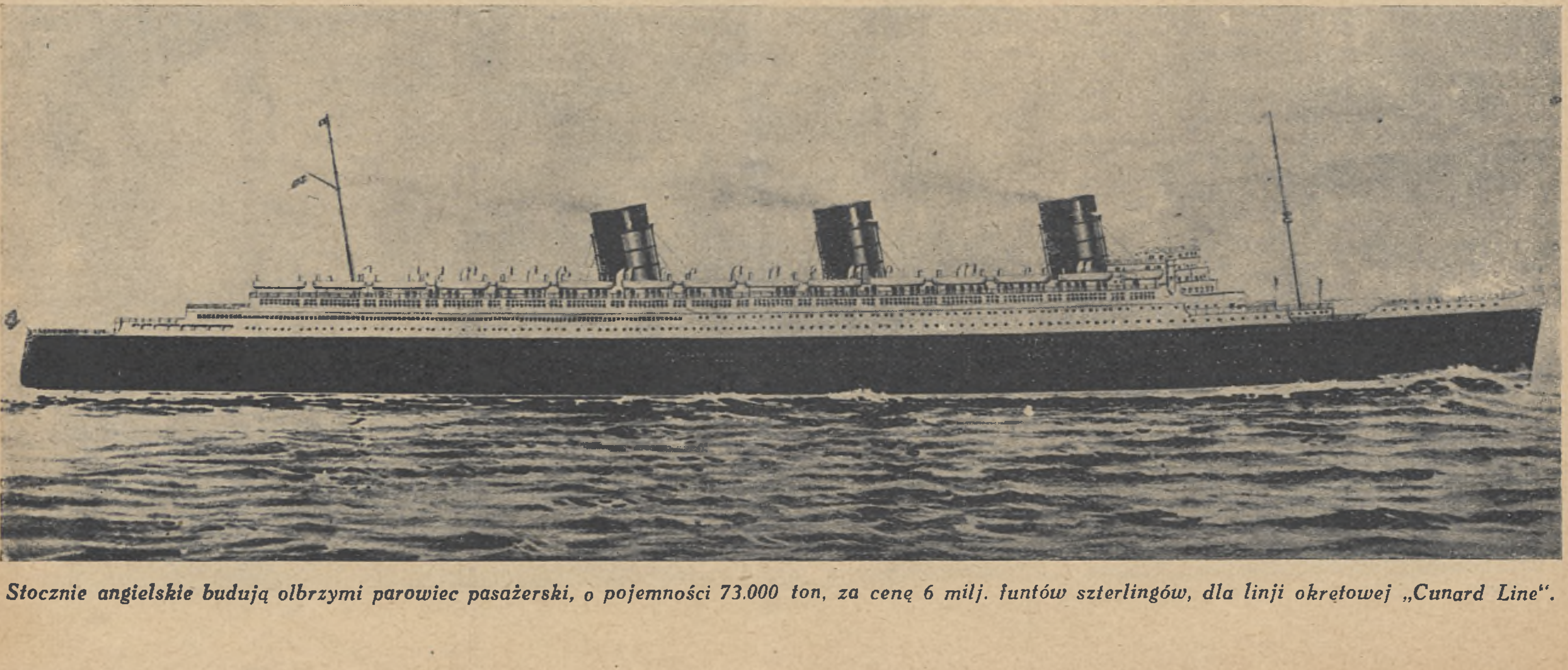
Teraz światła pogasły i, leżąc w łóżkach, rozpoczęliśmy oczekiwanie. Kiedy minęła godzina, zdecydowaliśmy, że wstyd mu wracać, że przewałęsa się całą noc i jutro będzie nam prawić duby smalone o swoich sukcesach. Z nadzieją słodkiego rewanżu, usnęliśmy.

Rano grzmot straszliwy wstrząsnął willą. Zerwaliśmy się z łóżek i w koszulach popędziliśmy na miejsce zdarzeń.

„Prałat", ociekający wodą, ryczał strasznie i wymachując dębczakiem, na który się gębą nadział, uganiał się za swemi najbliższemi szlafkamratami, „Użikiem" i „Bolesławem Kędzierzawym".

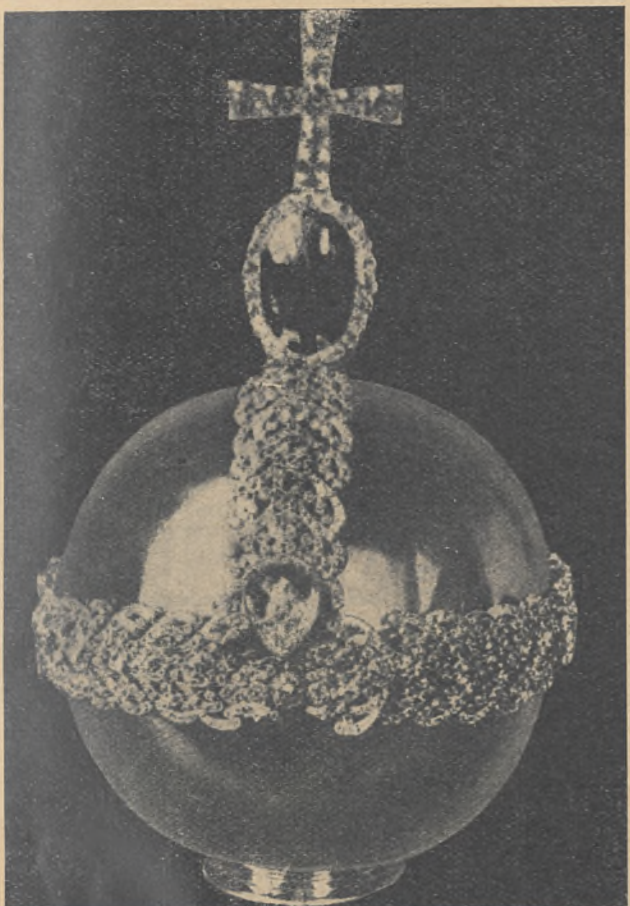
„Prałat" był pasjonat, wiedzieliśmy wszyscy, z bójek szkolnych, że w atakach pasji traci przytomność. Dębczak był ciężki, żmudzki, kupiony jako „curiosité du pays" w Połądze, zakończony gulą z sęków. Nie ulegało wątpliwości, że zmasakruje ściganych ciężko, to też nie było nam czasu na śmiech, na widok, jak „Kędzierzawy" i „Użik" fruwają w koszulinach po ca-

(Dokończenie na str. 93-ej.)



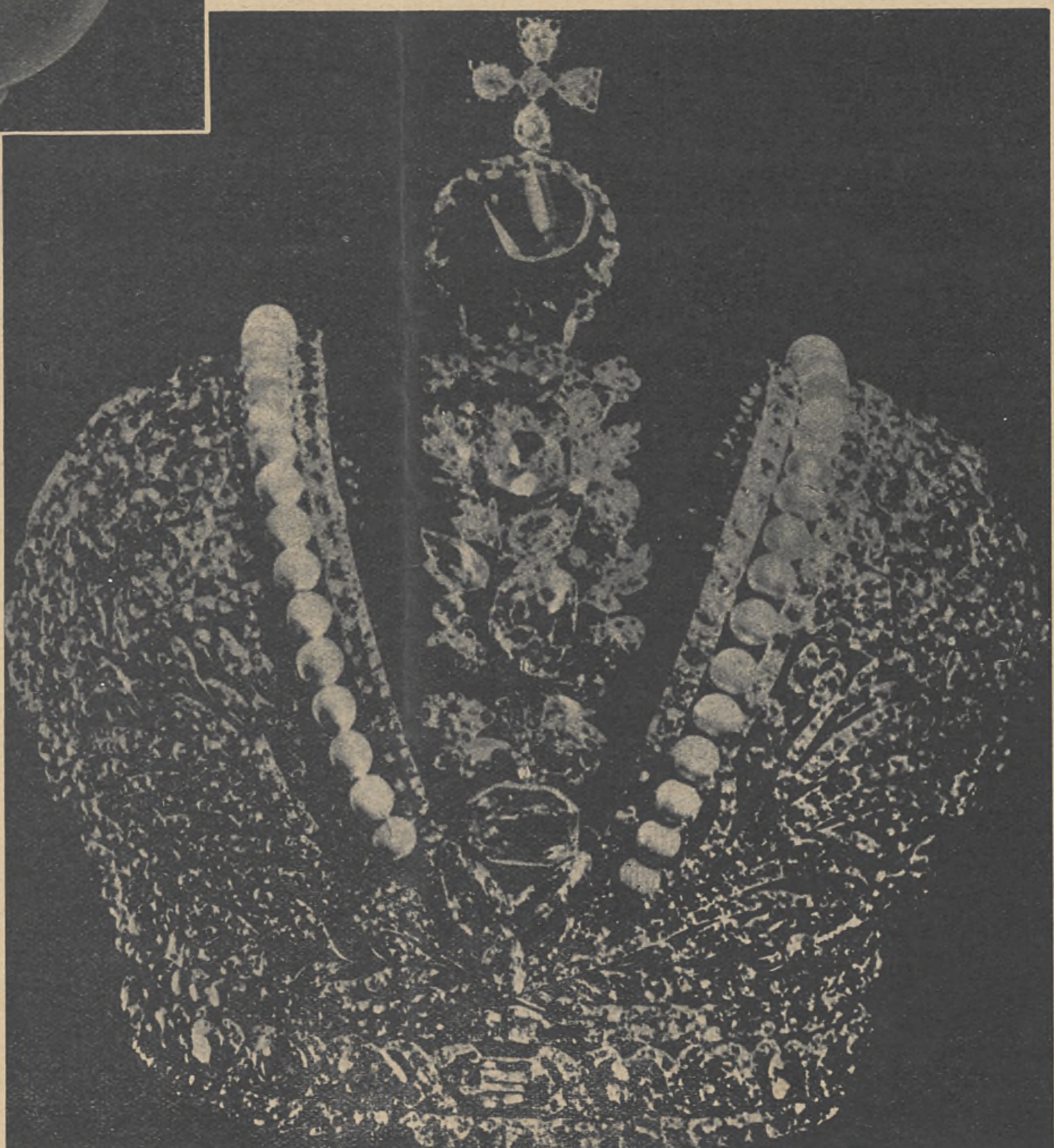
Stocznie angielskie budują olbrzymi parowiec pasażerski, o pojemności 73.000 ton, za cenę 6 milj. funtów szterlingów, dla linji okrętowej „Cunard Line".

Klejnoty rodziny carskiej





Djadem z pereł i brylantów mierzący 125 cm. wysokości i 58 cm. w górnym obwodzie.



Berło carskie (szafir ma 37 cm. wysokości, djament zaś — 27 cm.).

Korona z epoki Katarzyny II-ej (mierzy wraz z krzyżem 75 cm. wysokości).

Klejnoty carskiej rodziny rosyjskiej, które na początku wojny światowej zamknięto w skrzyniach i przechowywano w Pałacu Zimowym, zostały zinwentaryzowane w r. 1922 i podzielone na 3 grupy. Rząd sowiecki wyprzedał większość tych bezcennych skarbów, część jednak, należąca do pierwszej grupy, a składająca się z 406-u najbardziej wartościowych objektów, ma dotychczas znajdować się w Kremlu. W liczbie tych precjozów znajdują się podobno następujące unikaty: 136 - karatowy szmaragd, 260 - karatowy szafir cejloński, chryzolit przedziwnej wody, 400-karatowy rubin oraz słynne djamenty — Orłow (z XVI - wieku) i kamień Szacha (z XV - go wieku).

PITIGRILLI.

Pierwszy rok w liceum

(Przekład Z. M.)

Któregoś dnia robiłem porządek w bibljotece, odrzucając książki niepotrzebne na rzecz nowych powieści i najświeższych dzieł naukowych. Na pierwszy ogień wyrzuciłem wszystkich poetów en bloc.

Bibljoteka nie jest meblem, lecz narzędziem pracy, którem posługujemy się codziennie — i które spełniałoby swe funkcje daleko praktyczniej i żywiej, gdyby nie poeci, zajmujący miejsce uprzywilejowane i w ten sposób hamujący jej czynności.

W czasach wczesnej młodości czytywaliśmy wszyscy poezje, podobnie jak w czasach dzieciństwa wszyscy mieliśmy rowery. Lecz tylko ten, kto nie rozumie sensu życia, będąc dojrzałym człowiekiem nadal używa tych przestarzałych środków porozumienia i komunikacji. Szanująca się jednostka, doszedłszy do pewnego wieku, powinna za jednym zamachem wyrzucić rower dziecinny i Petrarkę.

W czasie wykonywania tej operacji antyretorycznej wpadła mi w ręce jakaś kartka, zapisana niebieskim ołówkiem, bardziej starannie, i podpisana: Pasquale Palumbo.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Przypominam sobie! Pasquale Palumbo! Rok 1907, pierwszy rok liceum!...

Nos siodełkowaty. Wieczny uśmiech, ukazujący zielono-żółte zęby. Typ chorowitego dziecka. Pierwszy uczeń w klasie, zawsze gotów do odpowiedzi, jak się dzielą tęgopokrywe, jak brzmi prawo Lavoisier'a o zachowaniu materji, kiedy Ludwik XI cierpiał na hemoroidy i który z nas wrzucił skórkę od serdelka do kałamarza pana profesora.

Któregoś dnia nauczyciel kazał nam napisać wypracowanie w języku francuskim na następujący temat:

„Otrzymałeś list z Niemiec — ponieważ nie znasz niemieckiego, piszesz do przyjaciela z prośbą o przetłomaczenie".

To zadanie dla mnie nie przedstawiało żadnych trudności. Wróciłem do domu i napisałem poprostu:

„Drogi przyjacielu!

Proszę cię o przetłomaczenie załączonego listu.

Pozdrowienia i ukłony"

Pan profesor kazał mi stanąć przed katedrą i rzekł:

— Za to wypracowanie, które nie jest wypracowaniem, stawiam ci dwójkę. Za sprawozdanie masz pałkę. Proszę przyjść z ojcem.

Następnego dnia zjawiłem się w gabinecie dyrektora z ojcem. Dyrektor mierzył mnie wzrokiem jak raroga.

— W ciągu czternastu lat mej pracy w szkolnictwie — rozpoczął uroczyście — rzadko zdarzało mi się spotykać podobne typy jak ty, mój drogi. Rozumie pan niechybnie — zwrócił się do mego ojca — w jakim celu nauczyciel kazał chłopcom pisać to wypracowanie...

— Rozumiem! rozumiem! — odparł żywo mój ojciec, podnosząc ręce do góry w kształcie litery Y.

— A czy ty nie wiesz—znów podjął pan dyrektor — że twoje wypracowanie było krótsze, niż samo brzmienie tematu, na jaki było zadane?

— Zdawało mi się, że mówię to co potrzeba, przy niewielkiej ilości słów — próbowałem się usprawiedliwiać.

— Ale przecież ty nic nie powiedziałeś, nieszczęsny! — huknął na mnie pan dyrektor — nawet nie zrobiłeś najmniejszej aluzji do trudności, jakie mogą wyniknąć dla twego przyjaciela...

— Gdybym przypuszczał, że mój przyjaciel będzie miał z tego powodu jakie trudności, nie zwracałbym się do niego z tą prośbą.

— Słyszał pan te odpowiedzi? — spytał mego ojca oburzony dyrektor.

— Masz się zachowywać z szacunkiem! — złajał mnie ojciec — nie jesteś w domu, gdzie twoja matka dogadza wszystkim twym kaprysom i godzi się na wszystkie twoje fantazje!

— W liście, który napisałeś do przyjaciela, nawet nie wspominasz o jego znajomości języka niemieckiego.

— Nie uważałem tego za konieczne — bo przecież gdyby nie znał niemieckiego, nie zwracałbym się do niego z prośbą o przetłomaczenie...

— Czy pan słyszy?... — zagrzmiał dyrektor.

— Przypominam ci po raz drugi — znów zgromił mnie ojciec — żebyś okazywał więcej szacunku twoim przełożonym!

— ...i nic nie wspominasz o tem, że sam nie znasz niemieckiego...

—Gdybym znał niemiecki, przetłomaczyłbym sam ten list. Wydawało mi się to zrozumiałe i jasne, zawarte implicite...

— Słyszałeś pan? — huczał czcigodny pedagog — on mówi: zawarte im—pli—ci—te!...

Po chwili dorzucił tonem lekarza, konstatującego chorobę nieuleczalną:

— Możesz iść. I weź się lepiej, moje dziecko, do jakiegoś rzemiosła.

Gdy wróciłem do domu, moja matka już wiedziała, że ośmieliłem się powiedzieć dyrektorowi „implicite".

Po dwóch dniach wszyscy moi krewni, nawet dalsi, wiedzieli, że powiedziałem dyrektorowi: implicite.

— Dla niego wszystko jest implicite — wołał mój ojciec, zaprawiając ironją swe ostre nagany.

Zacząłem powoli dochodzić do przekonania, że zachowanie moje wobec pana dyrektora było rzeczywiście niedopuszczalne.

Kiedy po kilku dniach — dzięki staraniom ojca — przyjęto mnie z powrotem do liceum — nauczyciel francuskiego zwrócił się do mnie z nietajonym triumfem:

— Przeczytasz teraz na głos wypracowanie Pasquale Palumbo. Pasquale Palumbo jest u nas prymusem!

Wstałem, trzymając w ręce kartkę z ćwiczeniem — tę samą kartkę, które teraz wypadła z jakiejś starej książki przy porządkowaniu bibljoteki...

I podczas, gdy ja czytałem głośno to wzorowe wypracowanie, Pasquale Palumbo, pełen uzasadnionej dumy, lecz nie chcąc tego okazać po sobie, maskował wzruszenia autorskie niezmiernie ważnem zajęciem: rewidował zawartość swych dziurek od nosa, przy pomocy niezaostrzonego ołówka.

Deklamowałem jak mogłem najpiękniej:

„... ty, który masz szczęście znać język Arminiusa, jako urodzony „w okolicy Quarnaro, co otacza Italję", jak powiada boski poeta..."

I tak dalej, cztery bite stronice w tym samym stylu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

To wypracowanie nabrało niewiarygodnego rozgłosu w całej mojej rodzinie. Przypuszczam, gdybym przyniósł do domu wykuty w złocie sarkofag Dżingis-chana, że nie rozmawianoby o tem tyle, co o tem ćwiczeniu. Matka nauczyła się urywków na pamięć, ojciec nosił kartkę w kieszeni i czytał niektóre ustępy po kilka razy, siedząc przed lustrem u fryzjera. Brat mego ojca, inżynier - elektrotechnik, genjalna głowa do interesów, człowiek wielkiej energji i sprężystości, został wyproszony za drzwi — ponieważ ujął się za mną, nietyle może z przekonania, ile z pogardy tak samo dla literatury jak dla tradycji.

Robiono najtragiczniejsze prognostyki na mój rachunek. Przyszłość moja malowała się z piętnem hańby.

Od czasu do czasu przypominano mi sentencjonalnie pewną przypowieść o groźnym bandycie, który w chwili, gdy kat mydlił stryczek, zawołał:

— „O, matko, gdybyś mnie zbiła za pierwszą skradzioną szpilkę, dziś syn twój nie byłby na szafocie!..."

W czerwcu rozpoczęły się egzaminy. Wszyscy moi koledzy zdali znakomicie, oprócz dwóch uczniów — ja ściąłem się z literatury, a mój najserdeczniejszy przyjaciel — z geometrji. Dziś jest on pułkownikiem artylerji i wykłada matematykę w Wyższej Szkole Wojennej.

Owego lata ojciec mój wyjechał do Chiancia-no leczyć się na wątrobę; matka zaś — już nie pamiętam dokąd — by przy pomocy odpowiednich wód i kąpieli obniżyć ciśnienie, które podniosło się zatrważająco wskutek wydarzeń ostatnich dni.

Ja zaś, spędziłem lato w przybytku wspólnego łajdaczenia się i samotnych grzechów, to jest w internacie. We wrześniu zostałem dopuszczony do egzaminów na drugi rok liceum. Już zapomniano o mojem przewinieniu. Z okazji choroby żołądkowo - kiszkowej, której nabawiłem się w internacie, udzielono mi całkowitej amnestji. Ale natomiast żadne wydarzenie—ani wesołe, ani smutne — nie zaćmiło glorji nad wspomnieniem o wypracowaniu Pasquale Palumbo.

Rodziny moich współkolegów wzdychały, by ich latorośle były podobne do owego championa naszej klasy. Matka Pasquale Palumbo codziennie oczekiwała swego syna u bram liceum, słysząc wszędzie pochlebne szepty:

— Ta pani, to matka pierwszego ucznia... to matka Pasquale Palumbo...

Chłopcy kłaniali jej się z szacunkiem — kroczyła chełpliwie obok swego potomka, i duma, zda się, rozpierała ją, duma wypinała jej biust wydatnie ku przodowi.

Później straciłem z oczu Pasquale Palumbo, pierwszego ucznia w naszej klasie. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że ta wspaniała inteligencja znalazła zastosowanie w sądzie, w wydziale cywilnym i karnym. Niebawem z Sądu Okręgowego przeniesiono go do Apelacji...

Był mianowicie woźnym.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Żona masarza z Berlina, która była przez pewien czas moją sąsiadką w hotelu nad Lago Maggiore, po powrocie do ojczyzny napisała do mnie list.

Otworzyłem ten liścik z drżeniem. Bardzo to niemiłe uczucie trzymać w dłoni perfumowaną zagadkę, posłanie od żony najbardziej znanego masarza w całej Europie, i nie wiedzieć, czy te słowa głoszą żal czy też pragnienie, pożegnanie czy obietnicę, wiadomość, że tam daleko w Niemczech czeka na ciebie serce kobiety... czy też na komorze celnej pasztet z wątróbek, specialité de la maison Stallbaum et Falckenberg.

Przebiegłem myślą spis osób, które mogłyby mi przetłomaczyć ten list.

Jedyny człowiek, na którego serjo mógłbym liczyć, był to Dabowicz, Dalmatyjczyk, który studjował germanistykę w Austrji. Obecnie mieszkał w Turynie i sprzedawał dywany perskie.

Wyszukałem jego adres w notesie, przepisałem na kopercie i włączywszy list jasnowłosej Gretchen, nabazgrałem na wizytówce:

„Drogi przyjacielu!

Proszę cię o przetłomaczenie załączonego listu.

Pozdrowienia i ukłony."

Mówią, że aby wywołać ducha, należy wyszeptać pewną formułkę.

Niechcący właśnie ją wymówiłem.

Zjawiło się przedemną widmo profesora z pierwszego roku liceum...

Widmo wydeklamowało:

— Czy to jest list?!!

I słowa mego ojca zabrzmiały mi w uszach:

— „W tem wszystkiem tkwi ziarno anarchji"...

— I głos mojej matki:

— On powiedział: to jest zawarte implicite.

— No, i podarłem wizytówkę na kawałki. Skoro w młodości mej tak mnie zbesztano za „listy, które nie są listami", skoro prawdą jest, że „non schoale, sed vitae discimus", jak czułby się mój biedny przyjaciel Dabowicz, gdyby otrzymał tak niegodny bilecik!...

W jednej ze starych książek, które kazałem odszukać na strychu, tkwi przecież kartka z wzorowem wypracowaniem Pasquale Palumbo — przepisałem ją na najpiękniejszym papierze listowym.

Nareszcie miałem sposobność przekonania się, że i szkoła się na coś przydaje! Z prawdziwą przyjemnością odczytałem me pismo:

„Drogi przyjacielu!

Ty, który masz szczęście znać język Arminiusa, jako urodzony w okolicy Quarnaro, co otacza Italję, jak powiada boski poeta, pozwól, bym zwrócił się do Ciebie z prośbą, przyczem skradnę Ci nieco bezcennego czasu, ale wiem, że dobroć serca Twego jest poprostu przysłowiowa.

Dziś rankiem, gdym leżał jeszcze w objęciach Morfeusza, otworzyły się drzwi i służebna wniosła mi ten oto list — błękitna koperta z różowym brzeżkiem, opatrzona znaczkami ze stemplem Berlina, świadczyła o tem, iż list ów pochodzi z Germanji.

— Niestety!... Mimo mych najszczerszych usiłowań nie mogłem przeniknąć tajemnicy tych linij, albowiem obcym jest mi język, który unieśmiertelnił wieszczy Goethe.

I tego ranka uświadomiłem sobie w całej pełni, jakiemi przywilejami darzy znajomość obcych języków, i gdy tak gorzko biadałem nad smutnym swym losem, przypomniałem sobie iż — chwała Najwyższemu — mam przyjaciela, wobec którego Schiller nie ma tajemnic...

Pocóż na tem miejscu wyliczać wszystkie zalety znajomości języka Teutonów? Lekarz współczesny musi się nim posiłkować, skoro chce wiedzieć, jakich nowych odkryć dokonano

na niwie jego pracy. Kupiec, prawnik, dziennikarz — skoro chcą rozszerzyć swą wiedzę i teren działania — winni rozpocząć od poznania tego języka sumiennych i inteligentnych badaczy. A ten, kto chce w całej pełni, rozkoszować się dziełami sztuki, tworami dzieci Apollina — może osiągnąć to tylko w oryginale. Niedarmo mówią: „tradutore, traditore".

Pełen tych smutnych refleksyj, opuściłem łoże — łoże, siedzibę pokus w chwilach boleści moralnych czy fizycznych — z niezłomną decyzją nauczenia się jaknajrychlej języka, w którym powstało dzieło wielkie natchnienia, to jest „Faust", aby Cię nie nużyć cytowaniem innych utworów.

Bez wątpienia Ty, który poznałeś ten język, wysysając go niejako z mlekiem matki, pomyślisz, że może w moim wieku zbyt późną jest rzeczą brać się do nowej nauki — ale pomyśl, czy i Katon nie zaczął pracować nad językiem Homera, będąc już w wieku bardziej niż podeszłym?

Nihil volentibus arduum!

Będę więc mógł bez trudu podziwiać literaturę tego możnego w zasoby inteligencji narodu, jednocześnie nie zapominając o mej własnej ojczyźnie, która wszak w niczem nie ustępuje pobratymczej Germanji!

Pragnę być w przyszłości dobrym synem mej wielkiej Ojczyzny, pociechą mych rodziców i zasłużonym członkiem społeczeństwa — a myślę, że wytrwałością i pracą dojdę do tych upragnionych rezultatów.

Tymczasem proszę Cię gorąco, byś zechciał mi przetłomaczyć załączony liścik.

Dziękuję Ci zgóry, żegnam i łączę wyrazy, zapewniając o mej wiernej i oddanej przyjaźni. Wybacz, żem Cię tak długo trzymał mą gawędą i przy sposobności przyjmij zaproszenie do mej skromnej siedziby, gdzie będę Ci mógł pokazać księgozbiór, uciułany powoli za drobne oszczędności, które składałem z zapałem, nie tracąc ich, jak inni koledzy, na płoche i nietrwałe przyjemnostki".

— — — — — — — — — — — — — — —

Minęło osiem dni. Od mego przyjaciela nie otrzymałem znaku życia. Udałem się wreszcie do jego biura, gdzie przyjął mnie sekretarz:

— Owszem, przypominam sobie, pamiętam bardzo dobrze. Mój szef otrzymał list na czterech stronicach, pisany bardzo starannie i kaligraficznie...

— Tak jest.

— W kopercie był drugi list...

— Niemiecki. I co dalej?

Sekretarz zawahał się. Dodałem mu odwagi:

— Proszę, niech pan szczerze mówi: co dalej?

— Więc — szef zaczął czytać ten list — przeczytał kilka wierszy od początku, kilka wierszy ze środka, dobiegł do końca—tu cytata z łaciny, tu nazwisko Goethego, tam Schillera... stracił cierpliwość, wrzucił ten list do kosza i zawołał:

— Czego ten człowiek chce ode mnie? Czy on sądzi, że ja mam tyle wolnego czasu?

Aż mi się w głowie zakręciło — ale nie zdążyłem zemdleć, gdyż wszedł mój przyjacieli

Usiadł przy biurku, zapalił lampę i zapytał:

— Czem ci mogę służyć?

Z trudem wyjąkałem, że przychodzę w sprawie owego nieszczęsnego listu... Na to Dabowicz spojrzał na mnie wzrokiem, od którego woda stężałaby w szklance w bryłę lodu, i rzekł:

— Czyż nie mogłeś napisać poprostu: „Drogi przyjacielu, proszę cię o przetłomaczenie załączonego listu?..."

WKRÓTCE ROZPOCZNIEMY DRUK NOWEJ, FASCYNUJĄCEJ POWIEŚCI

J. S. FLETCHERA

p. t. „Morderstwo przy ulicy Ogrodowej"

NIE WĄTPIMY, ŻE NIEZWYKLE INTERESUJĄCA TREŚĆ TEJ POWIEŚCI, ŻYWE TEMPO AKCJI, ORAZ BARWNOŚĆ TŁA, PRZYKUJE UWAGĘ CZYTELNIKÓW OD POCZĄTKU DO KOŃCA.



Dr. Don Ricardo J. Alfara, b. poseł Panamy w Waszynktonie został prezydentem Panamy, zajmując miejsce usuniętego przemocą prez. H. Arosunana.



Ambasador T. Filipowicz wręczył oficerskie krzyże Polonii Restitutae organizatorom obchodu ku czci Pułaskiego .Stoją od lewej ku prawej — pp. K. Zacharski, James H. Preston, burmistrz m. Baltimore, W. Broening, ambasador Filipowicz, pułk. J. P. Hill i G. S. Robertson.



Generał Sandino stanął na czele rewolty przeciw St. Zjednoczonym i wystosował pismo do prez. Hoover'a z żądaniem, aby wojska amerykańskie niezwłocznie opuściły Nikaraguę.

DWUNASTA ZIMA NARCIARSKA ROZPOCZĘTA





Tak, dopiero dwunasta zima od czasu, jak oficjalnie istnieje polskie narciarstwo sportowe.

Naogół nie zdajemy sobie sprawy z tego, od jak niedawna trwa u nas żywiołowy rozwój narciarstwa. A jednak... jedenaście lat temu, gdy powstawał w Zakopanem Polski Związek Narciarski, używanie nart miało wszelkie cechy eksperymentu. Eksperymentem narciarstwa zajmowali się wówczas nieliczni taternicy, aby móc uprawiać taternictwo również i w zimie. Narciarstwo sportowe, jako cel sam w sobie nie istniało prawie zupełnie.

Tak było w roku 1920-ym.

W roku 1929-ym odbyły się w Zakopanem olbrzymie zawody narciarskie o mistrzostwo Europy, przynosząc szereg wspaniałych wyników. W zawodach tych nasi narciarze ustępowali jedynie niezwyciężonym Skandynawcom, bili natomiast prawie wszędzie zawodników Europy Środkowej. Bronisław Czech został mistrzem Europy w biegu zjazdowym. Zgodna opinja zagranicy stwierdziła świetną organizację i najwyższy poziom sportowy zawodów.

W porównaniu z olśniewającemi tryumfami roku 1929-go, rok 1930-y wykazał jakgdyby nieznaczną depresję. Mistrzostwa Europy w Holmenkollen przyniosły wyniki słabe. Złożyły się na to zarówno przygniatająca przewaga Norwegów, którzy na swoim terenie przewyższali o klasę resztą zawodników, jak i nieprzyzwyczajenie do norweskich tras biegowych oraz odmiennego profilu skoczni, wreszcie dość słaba forma niektórych naszych zawodników. Jasne punkty zeszłego sezonu, to zdobycie przez Zdzisława Motykę drugiego miejsca na 18 km. i trzeciego na 50 km. w Mistrzostwah Niemiec oraz zdobycie mistrzostwa Słowaczyzny, przez Bronisława Czecha. Naogół biorąc, sukcesy sezonu zeszłorocznego wyrażają się nietyle w wynikach szczytowych, ile w zdecydowanem podniesieniu przeciętnego poziomu. Zarówno biegi, jak skoki przyniosły wiele doskonałych wyników zupełnie młodych narciarzy. Z tem większem więc zainteresowaniem czekamy na wyniki tegoroczne, na zawodników, którzy będą umieli wznieść się ponad tę wyrównaną, wysoką klasę.

Śniegi leżą już na Podhalu od kilku tygodni. Narciarze trenują. Treningi te mało są jednak podobne do zwykłych treningów sportowych, odbywanych w określonem miejscu i czasie. Są to raczej wypady w góry, w coraz to innym kierunku. Narciarze, przypinają deski i gnają naprzełaj. Bieg po płaskim terenie, uciążliwe podchodzenie po zboczu, lub stromej drodze, zjazd ostrożny, połączony z wymijaniem drzew i kamieni, lub błyskawiczny szus po śnieżnej równi pochyłej. Tylko taki trening daje narciarzowi - biegaczowi odporność na ciężkie warunki terenowe i przygotowuje na niespodzianki trasy biegowej w czasie zawodów.

Największe nadzieje sezonu 1931 łączą się oczywiście z osobą Bronka Czecha, narciarza ogromnego talentu i świetnego, rasowego sportowca. Mimo że w zeszłym roku, przeżywając spadek formy, pozwolił wyrwać sobie mistrzostwo Polski Karolowi Szostakowi, jest on jednak nadal moralnym mistrzem i najlepszym naszym narciarzem. Mówiąc to, bynajmniej nie wróżymy Czechowi łatwych zwycięstw. Przeciwnie, wyrównywująca się coraz bardziej klasa polskiego narciarstwa każe nam przewidywać ciężką, zażartą walkę o pierwszeństwo.

W biegu 18-o kilometrowym Bronek Czech musi się liczyć poważnie, przedewszystkiem ze Zdzisławem Motyką, mistrzem Polski na 50 km. Groźni będą również Karol i Antoni Szostakowie, Skupień, Michalski, Wład. Berych, Polankowy i kilku innych.

Na 50 km. najlepsi po Zdz. Motyce, to przedewszystkiem Kawa, Władysław Czech, Wilczyński, Jan Berych.

W skokach najsilniejszymi konkurentami Czecha będą z jednej strony rutynowani zawodnicy, jak mistrz Polski Cukier, Rozmus, Karol Szostak, z drugiej młodzi i najmłodsi, a więc w pierwszym rzędzie obaj małoletni bracia Marusarze, których brawurowe sześćdziesięciometrowe skoki były sensacją zeszłego sezonu. Mietelski, Rayski i paru innych dopełniają elity naszych skoczków.

W najpoważniejszej, rozstrzygającej o mistrzostwie konkurencji narciarskiej jaką jest t. zw. kombinacja, składająca się z biegu na 18 km i skoku, mogą tryumfować tylko narciarze posiadający zarówno kunszt biegacza, jak i skoczka. Do tej kategorji należy przedewszystkiem zaliczyć Bronka Czecha i mistrza Polski na rok 1930-y — Karola Szostaka. Silnymi przeciwnikami będą dla nich: Antoni Szostak, Żytkowicz, Lankosz, Marduła, Rayski.

Odrębną dziedzinę stanowi bieg zjazdowy, jedna z najpiękniejszych konkurencyj narciarskich, wspaniałe pole do wykazania najwyższego kunsztu techniki narciarskiej oraz osiągnięcia niebywałych szybkości. (Zeszłoroczne próby, dokonywane w St. Moritz, wykazały, że szybkość narciarza w stromym zjeździe może przekroczyć 100 km. na godzinę.).

Fenomenalny Bronek Czech królował w biegach zjazdowych od roku 1929-go, kiedy to zdobył mistrzostwo Europy w tej konkurencji, bijąc świetnych narciarzy angielskich, specjalistów zjazdu i wszystkich innych. W zeszłym roku bieg zjazdowy o mistrzostwo Polski wygrał wspaniale Suleja, Bronek przyszedł o 15 sekund za nim, trzeci był Staszek Marusarz, czawrty Władysław Czech.

Jeżeli w konkurencji męskiej narciastwo polskie zalicza się do pierwszej klasy środkowo - europejskiej, ustępując jednak zdecydowanie Skandynawom, to w konkurencji damskiej możemy się śmiało szczycić pierwszem miejscem na świecie, dzięki fenomenalnej młodziutkiemj góralce z Zakopanego Bronci Staszel - Polankowej, która nie ma równej sobie narciarki. Ta niezwykła dziewczyna, jakby urodzona do nart, lekko i z uśmiechem wygrywa od dwuch lat wszystkie biegi. Doskonała, rutynowana narciarka lwowska, pani Loteczkowa oraz parę młodych, szybkie postępy robiących Zakopianek ze Stopkówną na czele, dopełniają ekstra - klasy narciarek polskich.

Naszych narciarzy czekają w tym sezonie liczne i trudne spodkania z zawodnikami zagranicznymi. Wkrótce rozpoczną się tradycyjne już sąsiedzkie walki z Czechosłowakami w Zakopanem, na południowej stronie Tatr i w Czechach. Potem z pewnością nastąpią wyprawy do Austrji, Niemiec, Szwajcarji, czy Jugosławji. Największe jednak zainteresowanie opinji sportowej skupia się oczywiście około mistrzostw Europy. Mamy prawo oczekiwać od naszych narciarzy wyników lepszych od zeszłorocznych, wyników, które przypomną świetny rok 1929-y.





Zeszłoroczny laureat zawodów szkół średnich na Bielanach.

Najlepsza nasza narciarka Brońcia Staszel - Polankowa (w sweatrze) wraz z panną Loteczkową, podczas odpoczynku po treninigu.

Piękny skok Karola Szostaka, mistrza Polski na rok 1930.





Ślady po zjeździe mistrzów nart kreślą niejednokrotnie piękne rysungi na śniegu.

Bieg pań o mistrzostwo Europy w r. 1929-ym, w Zakopanem.

PROHIBICJA I ALKOHOL





Podczas, gdy tu i ówdzie odbywają się coraz częściej głosy za wprowadzeniem prohibicji, specjaliści bezustannie pracują nad powiększeniem konsumcji alkoholu. Zestawienie obu naszych ilustracyj jest niezmiernie charakterystyczne, bo oto na jednej z nich widzimy scenę z Tokjo — podpisywanie się na liście za zaprowadzeniem prohibicji dla ludzi poniżej lat 25-u; na drugiej zaś poznajemy hiszpańskiego chemika, Elso Blasce, który wynalazł sposób fabrykowania wina szampańskiego z trzciny cukrowej i z mięty; proceder ten uprawiany w Havanie obudził żywe zainteresowanie wśród szerokich rzesz amerykańskich przemytników.

WILLY REESE.

HOCHSTAPLERZY

Mężczyzna i 8 kobiet

Paryż.
Montparnasse.

Paweł Monceau zstępuje po kilku wytartych, kamiennych schodkach do małej ciemnej piwiarni. W zadymionej izbie, z trudem przeciska się pomiędzy brudnemi stolikami, nie odpowiadając na niechętne pomruki potrącanych przez siebie gości. Zaszywa się gdzieś w przytulnym kąciku i na wpółkwaśny uśmiech wymalowanej kelnerki każe sobie podać szklankę piwa. Pijąc gorzkawy płyn, rozpościera dużą płachtę „Matin'a" i szybko przebiega wzrokiem szpalty ogłoszeń.

Po chwili czyta:

28-letnia dziewczyna, posiadająca trochę oszczędności, pragnie poznać pana, do lat 36-ciu, najchętniej drobnego kupca lub rzemieślnika. Małżeństwo nie wykluczone. Oferty pod „Fortuna 1000".

Paweł Monceau chwilę się zastanawia. Najbardziej przykuwają jego uwagę słowa „posiadająca trochę oszczędności". Zdaje się, że jest to właśnie rzecz, w obecnem jego położeniu najważniejsza.

Nagle, niby jasny błysk, rozświetlający horyzonty, przychodzi mu do głowy myśl. Tak, to jest właśnie droga, po której winien od tej chwili kroczyć. Zrywa się od stolika. Rzuca kelnerce zapłatę za niedopite piwo i szybko wychodzi z piwiarni. W pół godziny potem Paweł Monceau wdrapuje się na swoją facjatkę, którą odnajmuje od wdowy Jaures, grubej baby, trudniącej się zawodowo kuplerstwem.

Po chwili odczytuje list, przez siebie napisany:

Wielmożna Pani!

Niniejszem składam swoją ofertę, która, mam nadzieję, będzie pani dogadzać. Mam lat 30, jestem ciemnym blondynem, 1,75 cm. wysokości, pełen radości życia, a jak mnie niejednokrotnie mówiono, bardzo przystojny i dowcipny. Marzeniem mojego życia było poznać młodą i skromną dziewczynę, z którą bym się zrozumiał i w ciszy pędził resztę lat swego życia. Jako drobny obywatel miasta posiadam dość środków na utrzymanie rodziny. Załączam swoją podobiznę. Proszę o jej zwrot, nawet w razie przychylnego potraktowania mego listu.

Z prawdziwym szacunkiem

Paweł Monceau,
18.IV, rue des Henneres.

Następnego dnia, Paweł Monceau, otrzymał odpowiedź, wyznaczającą mu spotkanie o godzinie w pół do piątej po południu, na placu Vendome, koło pomnika Napoleona. Paweł Monceau triumfował.

Stawił się punktualnie. Stara Jaures odprasowała mu ubranie i wyczyściła kilka plam, szpecących klapy marynarki.

Zbliżając się do miejsca swego rendez vous ujrzał mocno podstarzałą dziewicę, pretensjonalnie ubraną. Chodziła nerwowo, wokół pomnika, nerwowo rozglądając się na wszystkie strony. Paweł Monceau podszedł do niej powoli i uchylił z szacunkiem kapelusza. Dziewica zarumieniła się aż po białka oczu. Paweł wziął ją pod rękę, spytawszy się uprzednio o pozwolenie, poczem zaproponował jej przechadzkę do pobliskiego parku. Po dziesięciu minutach rozmawiali już jak para przyjaciół. Paweł roztoczył dokoła swej znajomej całe bogactwo swego dowcipu. Dziewica była zachwycona. Madeleine Chauder, tak się nazywała, znalazła nareszcie to, co chciała.

Spotykali się codzień, przyczem Madeleine całemi nocami marzyła o swym Pawełku. Napomknęła o małżeństwie. Na to Paweł:

— Jak tylko otrzymam 12.000 dolarów, które mi zapisał mój nieboszczyk wuj, świeć Panie nad jego duszą, natychmiast daję na zapowiedzi. Tylko są pewne formalności, niezbędne do otrzymania spadku z Południowej Ameryki. No i oczywiście, trzeba trochę włożyć pieniędzy, a raczej posmarować adwokatów, żeby szybciej załatwili postępowanie spadkowe.

Madeleine rośnie jak na drożdżach. Oświadcza kategorycznie, że mu odda wszystkie swoje oszczędności, ażeby popchnąć jaknajszybciej proces spadkowy. Paweł z początku wzdraga się. Nie chce nawet słyszeć o skromnych groszach, uciułanych przez swą ukochaną z ciężkiej pracy. W końcu jednak daje się przekonać. Czegóż nie dokaże gorąca wymowa zakochanej kobiety. Idą razem do kasy oszczędności i podnoszą całą sumę.

Na drugi dzień, Paweł wyjeżdża do Marsylji. Mieszka tam jego adwokat, prowadzący jego sprawy. Madeleine odprowadza Pawła na dworzec. Przynosi ze sobą zawiniątko z jedzeniem. Rozstają się bardzo czule. Paweł oświadcza, że wkrótce będzie w Paryżu, przysięgając sobie jednocześnie w duchu, że już nigdy nie ujrzy na oczy naiwnej kobiety. Tak się zakończył pierwszy akt jego nowego życia.

Paweł Monceau powraca następnym pociągiem do Paryża. Ubiera się u pierwszorzędnego krawca i porzuca swe dawne mieszkanie, zastępując go nowem, w bardziej reprezentacyjnej dzielnicy miasta. Codziennie niemal dziękuje w duchu za natchnienie, jakie na niego przyszło przy odczytywaniu ogłoszeń matrymonjalnych. Jest nawet skłonny uwierzyć, że tkwił w tem palec Boży. Wyłudzenie bowiem pieniędzy od naiwnych kobiet uważa za bardziej intratniejszy i bezpieczniejszy zarobek od drobnych włamań i kradzieży z przedpokojów, czy na dworcach kolejowych, któremi się do tej pory zajmował.

Wkrótce Paweł Monceau dochodzi do niebylejakiej wprawy w nabieraniu na małżeństwo. Wyłudza pieniądze u jakichś dwunastu dziewcząt. Żyje teraz jak prawdziwy lord, jadając w najelegantszych restauracjach i nocnych lokalach. Interes prosperuje świetnie. Papiery jego są zawsze w porządku i ciągle inne. To też z pobłażliwym uśmiechem czyta w pismach wzmianki o meldunkach swych ofiar w policji, zresztą nie wszystkie to robią. Są również i takie, którym wstyd jest się przyznać.

Paweł Monceau pracuje według pewnego systemu. Widać w tem świetną rutynę. Każdy poszczególny wypadek opracowuje odmiennie. Każde nowe oszustwo ma cechę indywidualną. Przychodzi jednak okres, kiedy zaczyna mu być w Paryżu zbyt ciasno. Przenosi się natychmiast do Tuluzy. Tutaj spotyka go niepowodzenie. Jest to dla niego pechowe miasto. Wyjeżdża do Bordeaux. Jego środki materjalne są na wyczerpaniu. Luksusowy hotel i wystawny tryb życia pożerają nieprawdopodobne sumy. Postanawia więc zrobić jakieś większe „uderze-

nie". Przychodzi mu do głowy pomysł oszustwa na większą skalę. Do tego jest mu na rękę jego apartament hotelowy, składający się z dwuch pokojów.

Pewnego dnia wszedł Paweł Monceau, do największego jubilera w Bordeaux, prosząc o pokazanie mu naszyjnika z pereł. Chciał go, jak oświadczył jubilerowi, kupić dla żony, która przepadała za perłami i miała już ich niezgorszą kolekcję. Jubiler, ujrzawszy tak wytworną sylwetkę klijenta, który, z całem opanowaniem się, cechującem ludzi dobrze urodzonych, wyłuszczył swe żądanie, nie powziął żadnego podejrzenia i wyłożył na ladę sklepową całą kolekcję naszyjników, będących w jego posiadaniu. Paweł, obejrzał wszystkie uważnie, ze znawstwem, które zachwyciło usłużnego jubilera.

— Ten naszyjnik będzie mi odpowiadał — rzekł Paweł, wskazując na najwspanialszą kolję, złożoną z kilkudziesięciu pereł. — Co ona kosztuje?

— 400.000 franków.

— O, to drogo! Chętnie bym ją wziął, ale musi mi pan coś na niej ustąpić.

Targ w targ, jubiler opuścił z ceny dwadzieścia tysięcy. Zadowolony był z siebie, gdyż rzadko spotyka się podobnego klijenta.

— A więc zgoda — rzekł Monceau. — Dam panu 380.000 franków. Ponieważ rozumie pan sam, że trudno taką sumę nosić w kieszeni, zapłacę u siebie w mieszkaniu. Nazwisko moje: markiz de Faurère. Mieszkam w hotelu Metropol. Niech pan będzie uprzejmy przysłać mi perły do mego apartamentu (numer 14—15) o godzinie w pół do szóstej, po południu, wraz z rachunkiem, który ureguluję gotówką.

— Do usług, panie markizie. Stawię się osobiście.

Fałszywy markiz ukłonił się uprzejmie i wyszedł. Jubiler zatelefonował do hotelu, gdzie mu zakomunikowano, że faktycznie pokoje Nr. 14 i 15 zajmuje od trzech dni markiz de Faurère. Wszystko zatem w porządku. Jubiler zatarł ręce z radości. Dokonał świetnej tranzakcji, jaka mu się nie zdarzyła blizko od roku.

Tymczasem Paweł Monceau nie traci napróżno czasu. Udaje się do sklepu z żelazem, gdzie kupuje młotek, piłkę i żelazny klin, „do naprawy auta", jak oświadczył. Wraz ze sprawunkiem powraca do hotelu, zamyka starannie drzwi na klucz, poczem zabiera się do pracy. Praca jego, przeprowadzona z całą ostrożnością, polegała na tem, że w ścianie, dzielącej dwa jego pokoje, wybija otwór, na wysokości szuflady biurka. Następnie wycina tylną ściankę szuflady i przysuwa biurko do ściany. Otwór jest zakryty i niczem nie zdradza szykującego się podstępu.

Następnie udaje się do restauracji hotelowej, by w spokoju ducha skonsumować obiad. Punktualnie o godz. 5-ej wraca do swego apartamentu.

O godzinie 5-ej i pół dyskretne pukanie budzi go z poobiedniej drzemki. Wchodzi jubiler z kasetką w ręku. Fałszywy markiz de Faurère wita się z nim uprzejmie, prosi go, by usiadł, poczem nawiązuje konwersację. Po pewnym czasie bierze kasetkę, otwiera, ogląda perły uważnie. Następnie chowa perły do szuflady biurka i zamyka ją na klucz. Poczem:

— Może pan chwileczkę poczekać — zwraca się do jubilera — muszę pójść po pieniądze, które mam w swej sypialni.

Jubiler kiwa uprzejmie głową na znak zgody. Jest pewien dobrego interesu. O perły niema się co obawiać, gdyż znajdują się w biurku, w tym samym pokoju, gdzie siedzi.

Drzwi sąsiedniego pokoju zamykają się za Pawłem Monceau.

Jubiler czeka minutę, dwie, pięć... dziesięć. Zaczyna się powoli niepokoić. Wreszcie, po upływie jeszcze jednych pięciu minut, podnosi się z krzesła, zbliża się do zamkniętych drzwi i puka. Z początku po cichu, potem coraz głośniej, wreszcie zaczyna się dobijać. Odpowiada mu martwa cisza. Drzwi nie puszczają z klamki. Są zamknięte na klucz od wewnątrz. Jubiler wybiega na korytarz i wszczyna alarm. Przybiega służba, która objaśnia jubilera, że pan markiz Faurère przed 15 minutami opuścił hotel. Po otworzeniu drzwi służba i jubiler widzą dziurę w ścianie, przez którą Monceau wyciągnął perły z szuflady. Pomimo dochodzeń policyjnych przestępca uchodzi bezkarnie.

Paweł Monceau, czując, że ziemia pali mu się pod stopami, postanawia wyjechać poza granice Francji. Pierwszym jego etapem jest Szwajcarja. Tutaj rozpoczyna dawny swój proceder nabierania naiwnych kobiet. Zmienia jednak zasadniczo metodę swej pracy. Operuje wśród starszych pań, w wieku 50—60 lat. Praca jego jest o tyle bezpieczna i bezkarna, że wiele z tych staruszek, przekonawszy się o właściwym charakterze swego kochanka, nie zdradza go, bojąc się własnej kompromitacji. Tutaj, w Szwajcarji, zyskuje sobie tytuł: „Mężczyzna i 8 kobiet", gdyż od tylu ofiar jednocześnie czerpie pieniądze na zaspokojenie swych nienasyconych apetytów. Po roku wreszcie, nuży go tego rodzaju egzystencja przechodzenia z ramion w ramiona siwowłosych staruszek. Wyjeżdża do słonecznej Italji, by tam, na nowym dla siebie terenie, rozpocząć malwersacje, podobne do bordoskich.

(Dokończenie nastąpi).

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZADANIE KRÓLEWSKIE

ó	w	i	N
d	r	a	g
o	e	i	a
s	s	j	L

Obejść powyższy kwadrat ruchem króla szachowego, stając na każdem polu tylko jeden raz tak, aby utworzyło się ostatnie ważne wydarzenie polityczne.

Nagrody

Za rozwiązanie zadań z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

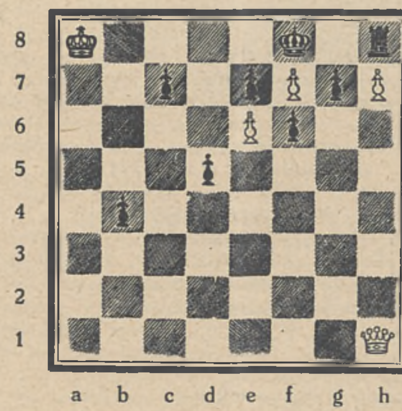
po 25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 4 lutego b. r.

SZACHY

A. Goldstein.

(Oryginalne.)



Mat w 3 posunięciach.

PIERRE MAC ORLAN. 17

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal Motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

Odtrąciła odrazu wszelką myśl o samobójstwie. Jedyną jej nadzieją pozostał prowincjonalny kabaret. Czuła się zgubiona w granicach tego bezosobowego państwa, rządzącego się prawami prostytucji. Przejrzała pokolei swoje nuty. Potem spróbowała głosu. Wywołało to dziwny, nienormalny dźwięk, przerywający w niedopuszczalny sposób ciszę hotelową. Marja-Chantal poczuła szybkie bicie serca i zamilkła. Czekała na jakieś wydarzenie, spowodowane jej własnym głosem. Odepchnęła nuty ze wstrętem.

— Żeby śpiewać, nawet jako zawodowa śpiewaczka — myślała — trzeba mieć chęć. Mogłabym może żyć między światłem i cieniem ulicy, ale nie będę mogła nigdy słuchać mego własnego głosu. A tymczasem zbliża się zima...

Myśląc o nadchodzących chłodach, wyobraziła sobie wszystkie cierpienia, na które nie zasłużyła bynajmniej. Jej powieki ciężkie były od łez, płakała cichutko aż do zupełnego osłabienia nerwów. Zdawało jej się, że będzie mogła zasnąć. Wyciągnęła się na łóżku, poddając się rozkosznemu oszołomieniu, które zamieniało ubogi pokój Continental Hotelu w jakieś schronisko, pełne dziecinnych obrazów.

Była już noc, kiedy obudziło ją stukanie do drzwi.

— Telefon.

Marja-Chantal zeszła szybko do biura. Szymon mówił do niej z jakiegoś końca Paryża.

— Przyjdź o północy do „Lisa". Będziesz jadła... Ja też tam przyjdę... Słyszysz?

Nie mogąc opanować wzruszenia, wybełkotała twierdzącą odpowiedź. Tym razem nie omyliła się. Wróciła do pokoju, i, aby ochronić się przed zbliżającą się burzą, rozebrała się i położyła do łóżka, czekając na północ, godzinę zaspokojenia głodu. Od rana poprzedniego dnia zjadła tylko kawałek ciasta, kupionego w pobliskiej kawiarni.

Marja-Chantal nie zapalała światła. Leżąc po ciemku, szukała pozorów, któreby przyszły jej z pomocą i dodały otuchy.

Tymczasem strach osnuwał ją cienką, lecz mocną nitką. Wiedziała, że nie zdoła jej przerwać. Tej nocy, wcześniej czy później, Szymon położy się obok niej w milczeniu, jak dzikie, zbłąkane zwierzę. Będzie patrzyła na niego, pogrążonego we śnie. Będzie mogła przeistoczyć tę twarz obojętną i nadać jej nieznany nikomu, ani jej samej, wyraz. Będzie mogła może nadać sens określony i straszny kilku słowom, szczelnie zamkniętym w jej pamięci, jak klejnoty w kasie ogniotrwałej. Marja-Chantal czuła, że ogarnia ją strach, gdyż rozumiała, że mogłaby wrócić do tych lat, miesięcy, dni umarłych, do dokładnej daty jej połączenia moralnego i cielesnego z tym, który był jej mężem.

Tak, ubierze się trochę przed północą. Spotka się z nim w ponurym kabarecie. Zostanie tam, zatrzyma go przy stole, aby odsunąć jak najdalej moment powrotu do hotelu i tej okropnej samotności.

Nie słyszała dziecinnych głosów, dobiegających z ulicy, kiedy się obudziła. Któraż to mogła być godzina? W tej sekundzie była na nogach. Zapaliła światło i spojrzała na zegar. Wskazówka stała na dziesiątej. W tej chwili ktoś mocno zastukał do drzwi.

— Kto tam? Co się stało? — pytała Marja-Chantal.

— To ja, Eligjusz Mutter. Pani w domu? Tem lepiej. Od pięciu minut walę w drzwi. Gospodarz mnie zwymyślał.

— Niech pan zaczeka chwilę. Ubieram się.

— Proszę się nie śpieszyć. Muszę pogadać z ojcem Rebicant i za dwadzieścia minut wrócę po panią.

Marja-Chantal umyła się zimną wodą. Była uszczęśliwiona wizytą Muttera, gdyż miała dużo przyjaźni dla tego poczciwca, który zawsze był gotów wyświadczyć jej każdą przysługę. Dawniej, kiedy Saint-Thierry był bogaty, mówiła: „Eligjusz Mutter durzy się we mnie". Ta myśl śmieszyła Szymona.

Kładła kapelusz, kiedy Mutter zapukał znów do drzwi.

— Ten pokój nie jest duży, ale zato musi być ciepły.

Zmierzył ją spojrzeniem, pełnem litości i pożądania.

— Śpieszmy się. Zapraszam panią na kolację. Głodna pani? Będzie pani jadła wszystko, co sprawi pani przyjemność.

— Ostrygi — powiedziała Marja-Chantal.

— Doskonale. Najpierw dobre ostrygi, a potem doskonały befsztyczek ze smażonemi kartoflami.

— Duży befsztyk — mówiła Marja-Chantal.

— Już idę z panem. Jestem zmęczona i słaba. Widocznie za dużo spałam.

Przyjaciele, którzy siedzieli przy zarezerwowanym stoliku, przyjęli Marję-Chantal okrzykami zachwytu.

Saint-Thierry też siedział z nimi, uśmiechając się z przymusem.

Marja-Chantal zauważyła odrazu, że jego kołnierzyk nie był czysty. Uścisnęła dłonie, które się do niej wyciągały przyjaźnie. Flahaut ucałował końce jej palców. Saint-Thierry usunął się, aby ustąpić miejsca żonie, ale ona zdawała się nie widzieć tego i usiadła między Mutterem i Gaudet'em.

— Panowie — rzekł adwokat Maugarenne — wszyscy, albo prawie wszyscy jesteście świadkami sprawy Noel-le-Caida. Mogę was uprzedzić, że za kilka dni będą wam znów zawracali głowę. Podobno policja natrafiła na poważny ślad. Morderstwo starego Noela jest jedną z licznych zbrodni, popełnionych przez bandę złoczyńców, których siedliskiem jest Hiszpanja. Wszyscy ci, którym telefonicznie naznaczono spotkanie, będą wezwani... Zażądają prawdopodobnie od nich, aby określili, czy tajemniczy głos nie miał specjalnego akcentu...

— Nie mogę tracić wciąż tyle czasu dla nich! — oburzył się Eligjusz Mutter. — Ci ludzie wyobrażają sobie, że jestem na ich zawołanie. Udam chorego. Zresztą do mnie nikt nie telefonował.

— Do mnie dzwoniono — powiedziała Marja-Chantal.

— Będzie pani wezwana.

— Mam wrażenie, że osoba, która mówiła ze mną, była cudzoziemką. Nie miała akcentu... może tylko przeciągała trochę ostatnie sylaby. Ale to przecież nie jest żadna poważna wskazówka. Boję się tej całej historji i nie lubię, jak się o tem mówi.

— Pójdę z panią — zaofiarował się Maugarenne i spojrzał na półmisek ostryg.

— Zjadłem już swój tuzin. Według mnie, panowie, a zapamiętajcie to sobie dobrze, morderca czy mordercy le Caida, nie będą nigdy wykryci. W tej chwili są już bardzo daleko.

— Ja myślę — rzekł pogardliwie Mutter. — Mieli czas to zrobić przez dwa lata.

— Przed rokiem, w Barcelonie — zaczął Saint-Thierry — słyszałem, jak mówiono o tej sprawie pewnego południa w małej knajpce na Parallelo, gdzie występował zabawny karzełek i śpiewaczka cygańskich piosenek.

— No, więc? — spytała Marja-Chantal znacząco.

— Słyszałem tam, jak siedzący za mną człowiek zwracał się do drugiego, mówiąc: „Tę małą widziałem w Paryżu w „Balu Motyli" u Noel-le-Caida". Nie słyszałem dalszego ciągu... ale zrozumiałem, że jeden z moich sąsiadów

nakazał drugiemu milczenie. Po dziesięciu minutach wyszedłem, gdyż miałem się spotkać z pewnym, poważnym dostawcą pomarańczy. Spojrzałem wtedy na obu. Jeden był stary, porządnie ubrany, drugi mały, o niewyraźnej twarzy. Podług mnie był to jakiś człowiek zamożny i przebiegły, może nawet niebezpieczny.

— Nie opowiedziałeś tego sędziemu? — spytał Mutter.

— Nie. Uważałem sprawę za pogrzebaną, od pięciu czy sześciu miesięcy, i pozwól, że użyję twego wyrażenia: nie mam czasu do tracenia. Jeśli będzie trzeba — pójdę.

— Niech pan zatrzyma tę wiadomości dla siebie — powiedział Maugarenne. — Jest to słaba wskazówka i nie wie pan wcale, na co takie opowiadanie może pana narazić. Policja, która szpera w tej chwili w norach Barcelony, może więcej wie o tem w tej chwili.

— Możliwe — zgodził się Saint-Thierry.

Eligjusz Mutter zamówił trzy butelki białego wina: popijano niem gorące ciastka, specjalność „Lisa".

Marja-Chantal, która dużo zjadła i trochę wypiła, była oszołomiona. Wino, którego od trzech miesięcy sobie odmawiała, aby móc się przyzwoicie ubierać, uderzyło jej do głowy.

— Proszę pić, droga pani! — wołał Eligjusz Mutter. — Nie zawsze jest święto. Za twoje zdrowie, Flahaut, publiczny trucicielu.

— Za twoje, piękny blondynie. Za zdrowie twoich niebieskich oczu, stary ośle.

Saint-Thierry też wypił więcej, niż zazwyczaj; milczał uparcie i tylko skinieniem głowy zgadzał się z Flahaut'em, który rozprawiał głośno, aby go wszyscy słyszeli.

— Pójdziemy do domu — zwrócił się Saint-Thierry do żony.

Marja-Chantal nie odpowiedziała.

Saint-Thierry wstał. Ktoś, przechodząc koło nich, powiedział:

— Szósta godzina. Będziemy mieli metro.

— Ja też idę — powiedział Eligjusz Mutter. — Poczekajcie na mnie, tylko zapłacę i idę z wami. Mieszkamy przecież w jednej dzielnicy, więc pójdziemy razem.

Chłód ulicy orzeźwił Szymona. Marja-Chantal też się ożywiła.

— Może zaraz zasnę — myślała.

Flahaut, Maugarenne i Saint-Thierry poszli naprzód. Flahaut rozprawiał głośno, wymachując rękami.

— Kiedy byłem w Legji, znałem jednego bubka, który pijał czterdzieści kieliszków dziennie. Pewnego dnia, gdyśmy wkroczyli do El Aioun, wysłano go, aby zawiózł prowjant na posterunek. Mój bohater, który się nazywał... ach, tracę pamięć...

Za nimi, o kilka kroków, szła Marja-Chantal z Mutterem.

— Dobrze się pani czuje? Nie bardzo zmęczona?

Zniżył głos:

— Jestem pani przyjacielem, może mi pani ufać. Możliwe, że moja przyjaźń będzie pani kiedyś potrzebna... Ach, zapomniałem! Chciałem panią poprosić o małą przysługę. Jeśli pewien wysoki Hiszpan, kapitan Juan Hortilopitz, o którym wiem, że jest teraz w Paryżu, przyjdzie do męża pani, proszę mnie zawiadomić. Winien mi jest dziesięć tysięcy pesetów. Na nieszczęście jest to wielki przyjaciel pani męża. Szymon, wiedząc, że Hortilopitz winien mi jest pieniądze, nie zdradzi go nigdy. Rozumiem go. Ale pani może to zrobić. Nie będzie to żadna zdrada. Hortilopitz musi mi zapłacić, bo wiem, że teraz ma pieniądze. Najważniejsze to spotkać go. Obiecuje mi pani?

— Tak.

— Dziękuję, ale niech pani, broń Boże, nie mówi o tem mężowi, bo w takim razie nie zobaczę nigdy moich pesetów.

XIV.

Saint-Thierry i jego żona leżeli w łóżku do godziny czwartej po południu. W ten sposób mogli żyć w nocy, kasując dzienne pożywienie. Marja-Chantal jadała raz na dzień w restauracji, jeśli zdarzała się ku temu okazja. Jej mizerna, papierowo blada twarzyczka, prowokowała zaproszenie na kolację ze strony Muttera albo Flahaut'a. Lubiła bardzo Muttera, ale może właśnie dlatego nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby pewnego dnia zostać jego kochanką, zerwać z Szymonem, jeść dowoli i ubierać się elegancko. Bała się męża do tego stopnia, że nie myślała nawet o ucieczce.

Pewnego grudniowego poranku, pomimo zimna, Saint-Thierry wstał wcześnie. Starał się nie obudzić Marji-Chantal. Napróżno. Zerwała się w jednej chwili.

— Dokąd idziesz?

— Śpij. Pójdę postarać się o pieniądze, aby zapłacić za pokój...

Marja-Chantal przykryła się kołdrą aż do oczu. Obserwowała Szymona, który się golił. Słyszała skrobanie brzytwy na policzkach i drżała z niecierpliwości. Obecność męża o tej porze przed lustrem irytowała ją aż do bólu fizycznego.

Wreszcie Saint-Thierry był gotów. Marja-Chantal przymknęła oczy, udając sen. Szymon odsunął roletę i położył na nocnym stoliku monetę dwufrankową, która przedstawiała obiad i kolację Marji-Chantal. W tej chwili spojrzał na ulicę, gdyż zdawało mu się, że usłyszał gwizdnięcie. Marja-Chantal usłyszała je również i nie wątpiła ani przez chwilę, że był to umówiony znak. Saint-Thierry otworzył cicho drzwi i wyszedł, zamykając je z taką samą ostrożnością.

(D. c. n.)

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o uiszczeniu prenumeraty za kwartał 1-szy.





P. Janina Kulczycka, primadonna operetki poznańskiej, w „Orłowie“, „Czardaszu“, „Maricy“, święci zasłużone tryumfy. Jej pełna werwy gra daje gwarancję, że najbliższa premjera, „Piękna Helena“, będzie jej wielkim sukcesem.



Marja Malicka i Zbyszko Sawan w parodji „Romea i Julji“
fot. Brzozowski)

STEFANJA JARKOWSKA
wybitnie utalentowana artystka teatrów Szyfmanowskich, występuje obecnie gościnnie w Łodzi, entuzjastycznie przyjmowana przez tamtejszą publiczność.

Teatr Nowy: „Rozkosz uczciwości“ Luigi Pirandella. — Teatr Ananas: „Zawiany karnawał.

Ekwilibrystyka psychologiczno-dramatyczna jak rzadko. Komplikowanie najprostszych sytuacji, jak nigdy. Ale wszystko zwarte, skupione, mocne. I bezspornie wysoce interesujące. Przedewszystkiem, jako robota teatralna, następnie, jako misterna pajęczyna powikłań etycznych, wreszcie jako igraszka, jako psychologiczna zabawa w kotka i myszkę. Bar lzo godna ujrzenia sztuka dla smakoszów. I grana — po mistrzowsku. Przez wszystkich. Dulęba zadziwia jubilerską robotą aktorską, koronkowym psychologizmem i wcieleniem się bez reszty w odtwarzany typ. Brydziński, jak zwykle, opanował swą rolę do najmniejszych drobiazgów, przeprowadzając ją z żelazną konsekwencją. W typie był również Biegański. Lindorfówna, Rodziewicz i Norski (bardzo dobry) — zupełnie na miejscu. Na uznanie zasługuje staranna reżyserja Biegańskiego i znakomity przekład Bolesława Gorczyńskiego.

✵

Trzyma się mężnie „Ananas“, choć na to niejeden teatr patrzy krzywem „okiem“. Dyr. Jastrzębiec umie zawsze sobie poradzić. Gdy w poprzedniej rewji udał mu się debiut czarującej Basi Gilewskiej, zwalił teraz na jej barki mnóstwo ciężarów, nie wyłączając konferansjerki. A ona nic... I zapowiada z przemiłym wdziękiem i rzadko spotykaną w teatrach rewjowych dykcją, i śpiewa z zalotną efronterją piosenkę „prasową“, i dziarsko gra w skeczach, i tańczy bądź akrobatycznie, bądź nawet klasycznie. A wszystko z uroczym powabem i rozkosznem zażenowaniem, jakby nie wierzyła wciąż jeszcze, że oto ona, mała Basia jest już solistką i „prawdziwą“ artystką. Skwierczyńska zdumiewa coraz bardziej soczystym humorem groteskowym, świetnie się rozwijając, a Korczyńska tańczy „hopaka“ z oszałamiającym temperamentem, zbierając huragany oklasków. Nie szczędzi się ich również pięknogłosej i przemiłej Orskiej, oraz Runowieckiej za parodje, a szkoda tylko, że niemożna napawać się również czarem Sozonowiczówny, ponoć niedysponowanej. Mężczyźni też starają się, jak mogą: Belski ma dobre piosenki, Welin jest wyśmienity w rolach charakterystycznych, Boroński, Leński i Rewski, godnie im partnerują. Kilka dobrych skeczów, parę ładnych muzyczek (Białostocki), pomysłowe dekoracje Mackiewicza, „więcej nam nie trzeba“. Powodzenie — najzupełniej zasłużone.

Henryk Liński.



Nietyle „Morskie Oko“ w Zakopanem, ile Zakopane w „Morskiem Oku“. Czarująca Karlińska i przemiły Olsza na czele pięknych „girls“ i „boys“

OBRAZ SYNTETYCZNY



Różne bywają dziwactwa na świecie— może więc znaleść się miejsce i na obraz, syntetyzujący natchnienie trzystu mistrzów pędzla oraz sposób ujmowania jednego wspólnego tematu.

Na pomysł ten wpadł pewien Amerykanin (jakżeby inaczej!), nazwiskiem J. Kitchell, który poświęcił 30 lat pracy i 12 milj. dolarów, celem wytworzenia syntezy wizerunku Madonny z 300-u obrazów najsłynniejszych mistrzów świata.

Wielce skomplikowana i żmudna ta praca oparta została na metodzie czysto naukowej. Drogą specjalnych zdjęć fotograficznych, Kitchell, uwypuklił poszczególne rysy, charakteryzujące każdy z wizerunków, poczem doprowadziwszy wszystko razem do jednego wymiaru, transponował jeden na drugim, grupami po 19 zpośród najbardziej do siebie podobnych. Nierównie ważnem i mozolnem było stopniowe usuwanie zbędnych sztrychów i drugorzędnych półtonów, poczem należało na monochromatycznej odbitce osiągnąć harmonję wszystkich tonów, widocznych na 300-u poszczególnych oryginałach.

Boimy się zanudzić Czytelnika masą skomplikowanych terminów i formuł — dość powiedzieć, że syntetyczny wizerunek Madonny, taki, jakim go widzimy na ilustracji, wywiera podobno niezwykle głębokie wrażenie, zwłaszcza dzięki delikatności, sprawionej przez utrwalenie obrazu w łagodnych, jednolitych półtonach.

(fot. Wide-World).

Nad Bałtykiem

(Dokończenie ze str. 82-ej.)

łej willi, jak pierzcha przed lwem ryczącym patrol podjazdowy w koszulach, złożony z p. J. z Bulbą i Wymokiem, jak wreszcie ścigani, nie mając gdzie się podziać, wypadli na werandę, stamtąd na ulicę. Za nimi pędził „prałat", za nim, tupiąc bosemi piętami, pozostała piątka.

Cel uciekających był jasny: chcieli przeciąć park i wpaść na plażę, na której o tej porze nie było ludzi. Nieliczne służące, idące po bułki, żegnały się krzyżem świętym widząc, jak sadzi dwuch drabów w koszulach, za nimi ociekający wodą elegant z pałą, wydający wściekłe ryki, a za tem wszystkiem znowu pięciu w koszulach, którzy drą się jak opętani.

Całe towarzystwo dopadło morza. Ścigani wcwałowali w Bałtyk po kolana „prałat" zaś, mówiąc obrazowo, orał jeszcze piasek nadmorski rogami, hucząc strasznie. Ale reakcja nastąpiła, zostawił więc nas w pokoju i pobrnął z powrotem do domu, zostawiając za sobą mokre ślady.

W domu jednak, zterroryzowawszy wdowę z córkami, okupował nasze ubrania. Siedzieliśmy, szczękając zębami, aż Bulba, poczuwszy w litościwem serduszku żal, wykradła ubranie „Pieprzojada" i przysłała.

Wysłany jako parlamentarz, wrócił niebawem z ładunkiem szat.

Z „prałatem" pogodziliśmy się, maturę większość zdała; do tych szczęśliwców nie należał piszący, który się ściął i jesienią pojechał w dalszym ciągu „ekstiernizat" do Moskwy.

Pół miljona kilometrów w powietrzu

W dniu 24 grudnia 1930 r. pilot Polskich Linij Lotniczych „LOT", p. Tadeusz Karpiński, prowadząc samolot na linji Warszawa — Lwów, ukończył pół miljona kilometrów, które przebył w powietrzu w służbie pilota komunikacyjnego.

Pan Karpiński jest trzecim pilotem w Polsce, który po pilotach, pp. Burzyńskim i Długoszewskim, osiąga tę olbrzymią ilość kilometrów powietrznych, równającą się przeszło 10 okrążeniom kuli ziemskiej.

Pan Karpiński podobnie, jak jego poprzednicy, potężną tę przestrzeń podobłoczną przebył w codziennych lotach, nie naraziwszy żadnego z przewożonych pasażerów na jakikolwiek szwank na zdrowiu.

Powyższy jubileusz jest najlepszym dowodem pełnego bezpieczeństwa naszej komunikacji powietrznej, a fakt, że jubilat, pełniąc zawód pilota od r. 1922, czuje się jak najlepiej, świadczy o tem, że „latanie" jest najzupełniej zdrowa i bynajmniej nie wpływa ujemnie na organizm ludzki.

Podkreślić się wreszcie godzi, że p. Karpiński, w czasie całej swej służby w lotnictwie komunikacyjnem, ani razu nie uszkodził prowadzonych przez siebie samolotów.

Pielęgnacja łysiny

Napozór śmieszne wydaje się mówienie o pielęgnacji łysiny. Jednakże łysina to smutne pobojowisko urody męskiej, powinna być troskliwie pielęgnowana.

Ten, komu losy, albo własne niedbalstwo zabrało uwłosienie, powinien przynajmniej dbać o to, aby skóra na głowie była czysta, aby nie było na niej brudu ani łoju, który może być tuszowany przy uwłosieniu, a na łysinie razi i sprawia nieestetyczne wrażenie.

Dlatego też łysa głowa powinna być zmywana co drugi dzień wodą z mydłem i wycierana dotąd pomadą toaletową do włosów, aż skóra stanie się połyskująca.

Łysina, jest zjawiskiem odwiecznem. Na starych modelach, rysunkach, drzeworytach spotykamy łyse głowy. Łysina jest znana i opiewana nawet w literaturze.

Pozwolę sobie przytoczyć jeden z tych archaicznych wierszyków.

„Jonasz prorok nie byłby w Niebie za swe czyny,
Gdyby był w wielorybie nie nabył łysiny,
Przejrzał duchem proroczym i dał te dowody
Że nie wnijdzie z czupryną nikt na wieczne gody".

Włosy służyły jako ochrona przed zmianą temperatury, obecnie, wskutek nieodpowiednich warunków i złej pielęgnacji następuje ogólny zanik włosów. W starożytności, Grecy wiedzieli o tem, że do osiągnięcia pięknych włosów nie należy ich nakrywać by nie utrudniać im oddychania i przewiewu powietrza, dlatego też nie nosili czapek. Czaszki ich były twarde. Na wykopanych czaszkach Greków i Persów łysina się pokazała. Czaszki Persów rozsypywały się, u Greków zaś były twarde. Jest to objaw, że nietylko brak okrycia wzmacnia włosy, ale nawet i czaszkę. Ciężkie okrycia włosów, zwłaszcza hełmy wojskowych i policjantów, utrudniają perspirację, a tem samem pogarszają odżywianie i w dużej mierze powodują wypadanie włosów.

Łysina idzie najczęściej w parze z otłuszczaniem. W chwili obecnej, ilość ludzi łysych stale się zwiększa. Pierwszym zwiastunem zbliżającego się łysienia jest pojawianie się we włosach łupieżu. Na głowach ludzi łysych, zazwyczaj łupież już nie występuje, to też dopóki jest jeszcze we włosach łupież, można mieć nadzieję, że włosy będą uratowane.

Siwe włosy, względnie ich pierwsze nici, nadają swoisty, lecz smutny urok twarzy.

W niektórych krajach, jak w Japonji, Persji, farbowanie włosów przedłuża złudzenie młodości i wchodzi w zakres codziennej toalety.

Rozróżniamy 2 rodzaje siwienia: I. przedwczesne, II. fizjologiczne.

Jakie są przyczyny przedwczesnego siwienia?

1) Nieodpowiedni tryb życia.
2) Choroby, wyniszczające organizm,
3) Predyspozycja osobista,
4) Rodzinna,
5) Nadużywanie alkoholu, nikotyny,
6) Stan nerwów, troski, zmartwienia (spotykane są nagłe osiwienia w przeciągu kilku godzin).

Najczęstsze jednak siwienie jest fizjologiczne, t. j. w pewnym wieku.

Wyjątkowo ludzie na starość zachowują swój kolor włosów. O ile siwienie jest spotykane w starszym wieku, chociaż granice wieku tak trudne są do przeprowadzenia, może być nawet estetyczne, lecz pod warunkiem, by występowała jednolicie biała czupryna. Taki objaw spotyka się bardzo rzadko. Najprzykrzejszy jest jednak okres przejściowy, gdy się ma szpakowate włosy.

Czy mężczyzna powinien farbować włosy?

Ludzie dzisiejsi, w przeciwieństwie do swoich przodków, zbyt mało mają szacunku i uznania dla siwowłosych. Niestety, na wielu stanowiskach nie są przyjmowani starsi ludzie, zwłaszcza w urzędach państwowych, dlatego też konieczność życiowa, a nie pretensjonalność zmusza mężczyzn do farbowania włosów.

Na czem polega siwienie włosów? Zdania uczonych są podzielone, jednak większość stwierdza, że zanik barwika włosowego, należy więc ten barwik sztucznie zaaplikować.

Wielką klęską ludzi, farbujących włosy, jest brak dobrych i tanich farb. Tylko bowiem farby roślinne są nieszkodliwe. Należy jednak farbowanie włosów wykonywać skrupulatnie i systematycznie, i pamiętać, że jednorazowem ufarbowaniem nie można na zawsze zmienić koloru włosów.

Nigdy, żadna farba nie daje włosom tego odcieniu, który pragniemy im nadać, a tylko zbliżony kolor, zanik barwika zaczyna się od korzeni — dlatego też przy głowie włosy mogą być siwe, a na końcach ciemne.

Jeżeli ktoś zmuszony jest do farbowania włosów, powinien to uskutecznić u fachowca, następnie raz na 6 tygodni poprawić sobie samemu. Farbowanie zarostu należy przeprowadzić identycznie, jak i farbowanie włosów, z tą różnicą, że należy najpierw wypróbować kolor i farby na wyczesku, aby nie narazić się na zbyt radykalne zmiany.

O włosach i ich pielęgnacji możnaby napisać całe tomy. Literatura na ten temat jest dość bogata, niestety, szczupłe ramy naszego pisma nie pozwalają na obszerniejsze potraktowanie tego przedmiotu.

Odnalezienie cennego dzieła sztuki

W połowie zeszłego roku, pismo nasze ogłosiło interesujący artykuł p. t. „Wśród starych mistrzów pendzla", zaopatrzony w reprodukcje kilku wybitnych dzieł sztuki, znajdujących się w prywatnem posiadaniu w Polsce. Wśród tych reprodukcyj, uwagę zwracał pyszny portret „Patrycjuszki weneckiej z 16-go wieku", będący przypuszczalnie dziełem słynnego ucznia Tycjana — Parisa Bordone.

Umieszczenie fotografji tego obrazu w naszem piśmie dało powód do niezwykłego zatargu prawnego. Oto bowiem, bezpośrednio po umieszczeniu artykułu, zwrócił się do naszej redakcji właściciel stołecznego biura filmowego, p. Skarbek Malczewski, oświadczając, że w dziele tem rozpoznaje starożytny obraz, który przed kilku laty był jeszcze w jego posiadaniu, a następnie zaginął.

Ponieważ obecnym właścicielem obrazu jest autor naszego artykułu, dr. Kazimierz Rakowski, redakcja nie robiła najmniejszych trudności, aby p. Malczewskiemu ułatwić skomunikowanie się z dr. Rakowskim. Identyczność obrazu została ponad wszelką wątpliwość stwierdzona, między innemi przy pomocy lakowej pieczątki, umieszczonej z tyłu obrazu na płótnie, noszącej wyciśnięte herby rzymskiej, książęcej rodziny Colonnów, oraz paru innych arystokratycznych rodów rzymskich. Jak się okazało, dr. Rakowski nabył ten obraz za cenę kilku tysięcy złotych od adwokata p. K. Łepkowskiego w Warszawie, który ze swej strony kupił go w stanie zupełnie zniszczonym, za bagatelną sumę kilkudziesięciu złotych w rupieciarni jednej z firm warszawskich, a następnie oddał do odrestaurowania znanemu artyście malarzowi, p. Feliksowi Jasieńskiemu. Pan Jasieński, z prawdziwem zamiłowainem do starych dzieł sztuki, zajął się odmyciem starego obrazu, a następnie odrestaurował niektóre zniszczone miejsca. Niestety, śmierć przeszkodziła ukończeniu rozpoczętego dzieła, przywrócenia blasku i kolorytu dawnej epoki.

Jak się okazuje, obraz ten oddany był przed kilku laty przez p. Skarbek Malczewskiego do pewnej firmy w celu ekspertyzy, został jednak wskutek jakiegoś nieporozumienia rzucony do rupieciarni w garażu automobilowym, gdzie go odnalazł i wydobył na światło dzienne p. adwokat Karol Łepkowski, nie przypuszczając nawet, jak cenne dzieło ratuje od zagłady. Obecny posiadacz, dr. Rakowski, zasięgnął rady ekspertów i zdobył pewność, o jak cenne dzieło sztuki tu chodzi. Jeden z najlepszych ekspertów polskich wyraził zdanie, że obraz ten, jakkolwiek nosi jeszcze ślady dawnego, nieumiejętnego odnawiania, wykazuje jednak wszystkie zalety świetnego pendzla Parisa Bordone, zwłaszcza bajeczny koloryt i nieporównaną gamę barw, mieniących się na stroju patrycjuszki. Opinję tę, w całej rozciągłości, potwierdził niedawno jeden z ekspertów zagranicznych, przybyły z Berlina.

Na tle tak niezwykłego odnalezienia zaginionego cennego obrazu, a to dzięki publikacji naszego pisma, wywiązał się ciekawy zatarg prawny. Dawny właściciel jego, p. Jan Skarbek Mal-

czewski, dochodząc swych praw, wytoczył proces przeciwko firmie, która jego obraz zaprzepaściła, żądając odszkodowania w sumie, jak słyszymy, 10.000 zł. Byłoby to bardzo skromne żądanie, o ile się zważy wybitne zalety obrazu. Warszawę czeka zatem niełada sensacja artystyczna, władze sądowe bowiem zobowiązały już obecnego właściciela obrazu, do przedstawienia go na publicznej rozprawie, niewątpliwie w tym celu, aby sąd mógł zawezwać ekspertów, w celu ustalenia wartości „Patrycjuszki weneckiej", a tem samem określenia wysokości odszkodowania.

Dowiadujemy się, że zagraniczne sfery artystyczne zainteresowały się tym obrazem, dr. Rakowski jednak nie ma zamiaru go sprzedać.

Wśród książek

Janusz Meissner — Licznik z Czerwoną Strzałką — Bibljoteka Iskier — Książnica Atlas — Warszawa, 1931.

Nowele lotnicze, pisane nie przez człowieka, który raz czy drugi może latał na pasażerskim Fokerze lub popijając od czasu do czasu z „żółtym kołnierzami", nasłuchał się od nich o przygodach w powietrzu i po dyletancku powtarza, lecz rzeczy wyszłe z pod pióra rasowego rycerza przestworzy, mają specyficzną wartość literacka. Zwłaszcza, jeśli w parze ze znajomością przedmiotu i umiłowania go idzie prawdziwy talent pisarski. Bo to nietylko „zarabianie na masło do chleba, który daje zawód pilota" dyktuje autorowi te doskonałe opowieści z życia lotniczego. Autor jest zanadto skromny. I to mu przysparza tyle samo wdzięku — ile hartu zawierają jego nowelki — prawdziwe i bez najmniejszej blagi. Zbiorek ten winien znaleść najszersze rozpowszechnienie, zwłaszcza wśród kół młodzieży, jakoże stanowi doskonały materjał propagandy lotnictwa oraz niezwykle miłą i interesującą lekturę.

Włodzimierz Popławski — Tancerka — Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań, 1931.

Miły nasz kolega wydał tom doskonałych nowel. Gratuluję mu ze szczerą radością, tak samo jak zawsze rad jestem, gdy mogę Czytelników poczęstować utworem W. Popławskiego na łamach naszego pisma. Bo autor „Tancerki" — toć stary znajomy Czytelników „7 Dni" i nie wątpię, że jeden z ulubionych nowelistów publiczności. Młody — więc nowoczesny, zarówno w sposobie ujmowania tematów (daruję mu nawet pewną dezinwolturę), jak też w pełnem dynamiki wysławianiu się. Żywy, interesujący. Czegóż więcej potrzeba dla powodzenia książki? Jedno wszakże mam do zarzucenia — to ogólny ton, obecnego zbioru nowel, gdyż zestawienie, z któregoby można wnioskować, iż wszystko na świecie — „to wielka bujda i ludzka swołocz" jest zbyt przykre, razi i niejednego może zrazić. Zwłasza, że tonowi temu, którym zatruwają nam powietrze mili sąsiedzi z Niemiec i z Rosji — opieramy się, jak możemy. Przesada, kochany autorze...... Nie jest tak źle, a że nie różnimy się z pewnością w poglądach, więc oczekiwać będę dla naszych Czytelników noweli w odmiennym tonie — dla odświeżenia się.

Pinon-Gacka Aniela: Dwie Ojczyzny. — Nakł. Drukarni Wzorowej. W. 1930.

Na półkach księgarskich ukazała się w tych dniach ciekawa książka. Z radością witamy książkę Anieli Pinon-Gackiej p. t. „Dwie Ojczyzny", w której, zamiast mdłego morału, męczącego i zniechęcającego dzieci, wysunięta jest szlachetna idea miłości ojczyzny i braterstwa ludów. Łatwy, a barwny styl, trzymający w napięciu uwagę młodego czytelnika, oraz staranna forma wydawnicza przyczynią się niechybnie do sppoularyzowania tej książki, która zapełnia lukę w ubogiej naszej literaturze, przeznaczonej dla młodzieży.

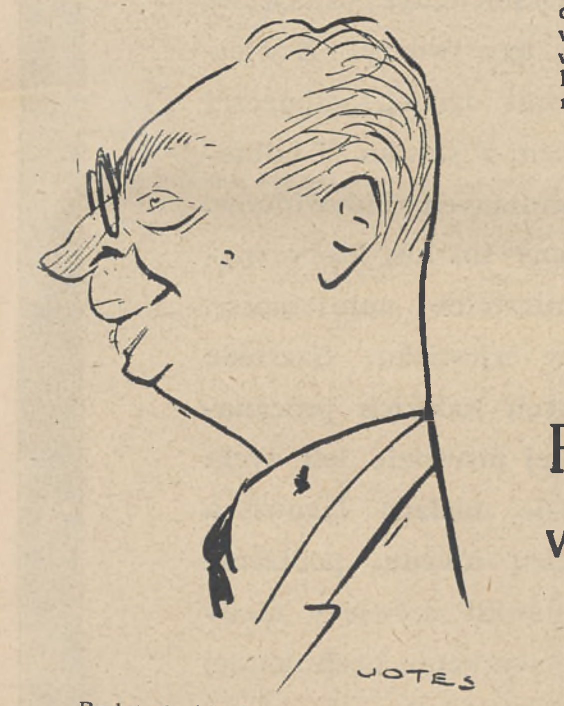
Sprostowanie

Dom Książki Polskiej S. A. prosi nas o zamieszczenie następującego sprostowania:

W Nr. 51-ym „7 dni" z dnia 25 grudnia zauważyliśmy ogłoszenie Polskiego Tow. Przyjaciół książki, w którem powiedziano, że „członków P. T. P. K. przyjmuje Dom Książki Polskiej".

Ponieważ ogłoszenie to zamieszczone zostało bez naszej wiedzy i zgody, prosimy uprzejmie Szan. Pana Redaktora o zamieszczenie sprostowania, że Dom Książki Polskiej w Warszawie nie przyjmuje zapisów na członków P. T. P. K.

Piaskiem w oczy...



Proletarjacki pisarz rosyjski, Boris Pilniak, zatrzymał się w Warszawie. Urządzono z tej okazji przyjęcie przy ul. Poznańskiej. I słusznie, bo osobiste zetknięcie się z wybitnym — niewątpliwie — talentem pisarskim jest ciekawe. Jedno wszakże zastrzeżenie. Poco opowiadać „zachodnim truposzom", że literatura w Sowietach jest niezależna? Coś niecoś wiemy o tem... A więc, przedewszystkiem, że w dniu 1 lipca 1925 roku literatura została oficjalnie uznana i zetatyzowana, celem niesienia służby publicznej, na równi chociażby z G. P. U. A oto jeszcze jeden fakt: w ubiegłym roku, głośny pisarz francuski, Henri Barbusse, przyjęty przez M. Gorkiego, usłyszał od niego przedziwne enuncjacje o konieczności coraz większego zrewolucjonizowania literatury, powołania jej do ostatecznego zgnębienia niedobitków opozycji i t. d., i t. d. — a wszystko w jednem tempie z „piatiletką", której realizacja wywoła zdumienie całego świata. P. Pilniak wprawdzie wypowiedział w swoim czasie zdanie (w książce p. t. „Co myślą pisarze o sztuce"), iż „wskutek usiłowań państwa w kierunku stworzenia literatury komunistycznej, wartość produkcji artystycznej znacznie spadła, gdyż osiągnięcie tych zamierzeń może być możliwe dopiero wtedy, gdy wszystko zostanie ogarnięte przez ideę komunistyczną... Póki co, literatura proletarjacka sprowadza się do zwykłej propagandy". Oczywistą jest rzeczą, że p. Pilniak niczego podobnego nie powtórzy—ani w Warszawie, ani w Berlinie, gdyż pełniąc zagranicą funkcje oficjalnego przedstawiciela Wapp'u (Wsierossijskaja assocjacja proletarskich pisatielej), musi skwitować z niezależności myśli. Trudno czasem pogodzić ideologję ze służbowemi obowiązkami. Zwłaszcza, gdy, obok Wappu, funkcjonuje... G. P. U.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50, półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200 ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 mm 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy

Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI — Wydawca PRASA ILUSTROWANA S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.